

JOAN HOHL

Lwiątko



Harlequin ®

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Istambuł • Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia
Sydney • Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jest jeszcze piękniejsza niż kiedyś! - Ze wzrokiem utkwionym w postaci młodej kobiety, Lyon Cantrell cofnął się w głęboki cień markizy osłaniającej wejście do eleganckiego magazynu z odzieżą męską, nad którym widniał szyld z napisem: „Mężczyzna Wytworzony”.

Nie zauważył zniecierpliwionego spojrzenia, jakim obrzucił go klient, któremu stanął na drodze, ani nie zdawał sobie sprawy, że ściska kurczowo czarno-srebrną torbę z zakupami tak, aż mu palce zbieleły. Całą swą uwagę skupił na kobiecie stojącej obok licznika parkingowego przed salonem fryzjerskim, zaledwie kilkanaście metrów dalej.

Czas obszedł się łaskawie z Elizabeth Ware, a nawet więcej niż łaskawie. W jej wyglądzie zaszły pewne zmiany. To nieuniknione w ciągu dziesięciu lat. Ale z miejsca, w którym stał, mógł łatwo stwierdzić, że zmieniała się na korzyść. Zawsze była piękna, ale teraz, mając dwadzieścia... siedem... nie, dwadzieścia osiem lat, była wprost zachwycająca.

Jej długie włosy o ciepłym brązowoczekoladowym odcieniu spadały poniżej ramion. Lśniące pasma ułożone w swobodne, naturalne loki unosiły się do góry, poruszane podmuchem ciepłego, letniego wiatru. Na-

wet z tej odległości Lyon mógł podziwiać zdrowy blask kremowobiałej, nieskazitelnej cery Elizabeth.

Choć nie widział jej oczu, pamiętał je dobrze. Wyglądały jak dwa aksamitne, brązowe bratki. Figura Elizabeth również zyskała z biegiem lat, choć już dawniej była rewelacyjna. Piersi miała nieduże, ale też wcale nie za małe; krągłe, z pączkami brodawek sterczącymi ku górze. Stanowiły bolesną pokusę, od której zawsze Lyonowi pociły się dłonie i zasychało mu w ustach.

Wąska talia przechodziła w piękną linię bioder, a długie, szczupłe nogi stanowiły, według Lyona, główną broń kusicielki.

Dziś te nogi okrywały ciasne, sprane džinsy, a piersi rozpychały czerwoną bluzkę ze znakiem linii lotniczych Mid-Continental. Na wąskich stopach miała sandałki. Duża skórzana torba zwisała z ramienia, a twarz osłaniały olbrzymie okulary słoneczne w rogowej oprawce.

Lyon wpatrywał się w nią ze ściśniętym sercem, doznając dziwnych skurczów poniżej pasa. Obojętny na pieszych wokół siebie, stał nieruchomo, mimo że swoim atrakcyjnym wyglądem przyciągał powszechną uwagę - jak szczyt górski wznoszący się ponad Cantrell, małym miasteczkiem położonym w jednej z dolin Pensylwanii.

Elizabeth, oparta o kolumnę licznika, zerkała od czasu do czasu na tarczę dużego sportowego zegarka, który miała na ręku.

Niech ją diabli! Dziesięć lat! Dziesięć długich lat, a sam jej widok wprawia go w stan gorączkowego

podniecenia. I znów poczuł słodycz jej ust i dotyk pełnych warg.

Przeklęta Elizabeth! Oczy zwięziły mu się w szparki, gdy wbrew swej woli cofnął się myślą do wydarzeń sprzed wielu lat, które wryły mu się w pamięć na zawsze.

Było to niezwykle gorące lato w Cantrell. Żar buchał z rozpalonych chodników, a asfalt topił się na jezdni. Nadeszły wakacje. Roześmiani, rozgadani uczniowie kręcili się po ulicach, pedałowali na rowerach, wszędzie ich było pełno.

Lyon przyjechał do domu na dwa tygodnie. Były to jego pierwsze prawdziwe wakacje od czasu, gdy przed czterema laty skończył szkołę biznesu - Wharton School of Business - na uniwersytecie w Pensylwanii.

Już po dwóch dniach zaczął się nudzić. Potrzebował jednak odpoczynku i oderwania się od męczących zajęć, jakie narzucił mu ojciec, chcąc go wprowadzić w arkana rozległych interesów, wiążących się z prowadzeniem rodzinnego konsorcjum.

Pracując dzień i noc przez cztery lata, Lyon nie tylko dużo się nauczył, lecz stał się wybitnym fachowcem. Wszystko jednak ma swoją cenę. W wieku dwudziestu sześciu lat Lyon był ekspertem w swojej dziedzinie, ale bardzo zmęczonym ekspertem.

Rozkaz wydała jedyna osoba zdolna przeciwstawić się ojcu, jego matka. Brzmiał krótko i wyraźnie: - Wracaj do domu i odpocznij!

Lyon podporządkował się życzeniu matki, lecz po dwóch dniach bezczynności nie wiedział, co z sobą zrobić. Ponieważ uczęszczał do drogich prywatnych szkół w zimie, a w czasie wakacji przebywał na

ekskluzywnych obozach letnich, miał niewielu kolegów w swym rodzinnym miasteczku.

Prawdę mówiąc, jego jedynym przyjacielem był Huntington Melton Canon, syn najbliższej przyjaciółki jego matki. Hunt miał się zjawić w domu lada dzień i tylko to powstrzymywało Lyona od spakowania walizek i powrotu do biura w Nowym Jorku. Miał nadzieję, że Hunt przyjedzie i wymyśli im jakieś rozrywki. Z natury pogodny i towarzyski, Hunt miał mnóstwo znajomości w mieście i okolicy.

Lyon wylegiwał się nad brzegiem basenu, udając zainteresowanie opowiadaniem matki o różnych akcjach charytatywnych, w których brała udział, gdy jego przyjaciel zjawił się wreszcie, wpadając jak bomba między nich.

- Lyon, ty stary... - Hunt zawahał się i obdarzając chłopięcym uśmiechem starszą panią, dokończył - ...draniu. Jak się masz, chłopie?

Ukłonił się w stronę pani Cantrell.

- Pani wygląda młodo i pięknie, jak zawsze - dodał, błyskając znowu zębami w szerokim uśmiechu.

Margaret Cantrell zawsze była czuła na komplementy. Teraz też zarumieniła się lekko, rozjaśniając uśmiechem swą świetnie utrzymaną twarz.

- Czuję się doskonale. Dziękuję, Hunt. Ciebie mogę nie pytać o samopoczucie. Wyglądasz jeszcze lepiej niż kiedyś.

- Dziękuję pani - odparł Hunt z rozbrajającym uśmiechem! - Na pani można polegać. Dlatego tu przychodzę, a nie po to, żeby się zobaczyć z tym szalonym pracusiem, pani synem.

Margaret zachichotała. Lyon obrzucił przyjaciela cynicznym spojrzeniem, z którego przebijało jednak rozbawienie.

- Nic się nie zmieniłeś, Hunt - rzekł, wstając, aby uścisnąć dłoń kolegi. - Wciąż jesteś tym samym wygadany bawidamkiem.

- Ja?! - Hunt udawał, że jest zaskoczony. - Z tego, co słyszę, to raczej ty zdobyłeś sobie taką reputację wśród bogatych panien.

- Szczególnie u jednej - dodała z zadowoloną miną pani Cantrell.

- Mamo! - w głosie Lyona zabrzmiał wyrzut.

Błękitne oczy Margaret wyrażały absolutną niewinność.

- Ależ twoje stosunki z Leslie nie są tajemnicą - protestowała.

- Nie nazywaj tego stosunkami - oburzył się Lyon.

- A co to jest? - zapytał Hunt uradowany, że udało mu się odkryć jakiś sekret. - Chwilowa miłośćka?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła Margaret.

- Leslie Broadworth nie jest tego typu dziewczyną.

- Och, mamó - mruknął Lyon, jednocześnie zachęcając gestem Hunta, aby rozłożył się na którymś z leżaków, stojących obok nich. - Leslie jest niewątpliwie piękną, młodą i uroczą dziewczyną, ale...

- Bardzo się cieszę, że tak mówisz - przerwał mu Hunt, osuwając się z gracją na wyściełany leżak - bo chcę cię zabrać ze sobą na zabawę do moich przyjaciół.

Lyon zmarszczył brwi.

- Na zabawę?

- Na zabawę? - powtórzyła jak echo pani Cantrell.

- Nie słyszałam, żeby ktoś z naszych przyjaciół wydał przyjęcie dziś wieczorem.

Hunt z trudem powstrzymał uśmiech, słysząc nacisk położony na słowach „naszych przyjaciół”.

- Bo też to nikt z nich - odparł. - Przyjęcie wydaje rodzina mojego szkolnego kolegi z liceum.

To wyjaśniało wszystko. Hunt uczęszczał do miejscowego liceum w Cantrell.

- To podwójna uroczystość.

- Co to znaczy? - zapytała Margaret.

- Przypuszczalnie organizują to przyjęcie z dwóch okazji. Zgadza się? - leniwie wycedził Lyon, spozierając na swego kolegę.

- Zgadłeś - uśmiechnął się Hunt - Zawsze byłeś bystry. Pójdiesz tam ze mną?

- Nie - odparł Lyon unosząc jedną brew do góry. - Jeszcze nie usłyszałem, co mamy...

- Ale co to za dwie okazje? - dopytywała się Margaret niecierpliwie. Lyon patrzył na matkę pobłażliwie.

- Jest to pożegnanie mojego kolegi - wyjaśnił Hunt - i jednocześnie osiemnaste urodziny jego młodszej siostry.

- A więc nie licz na mnie - powiedział zdecydowanie Lyon. - Nie mam zamiaru iść na urodziny dziewczyny, której nie znam.

- Miej do mnie trochę zaufania, Lyon. Będzie bardzo miło, zobaczysz. Mówisz jak stary... - urwał, rzuciwszy przepaszające spojrzenie w stronę pani Cantrell. - Czy do tego stopnia wszedłeś w ten kierat, że zapomniałeś, co to jest zabawa?

Ta kpina poskutkowała. Rzeczywiście Lyon pracował ostatnio jak niewolnik i choć pozwalał sobie czasami na towarzyskie spotkania oraz średnio zadowolający seks z Leslie, zapomniał już, jak smakuje prawdziwy relaks i rozrywka. Mimo to...

- Nie wiem - rzekł z wahaniem. - Nie bawi mnie rola gościa, który przychodzi bez zaproszenia.

Hunt wzniósł oczy do nieba.

- Naprawdę stajesz się nudziarzem. Masz dwadzieścia sześć lat, a nie sześćdziesiąt dwa. Poza tym, wspomniałem już o tobie i Chuck powiedział, żeby cię przyprowadzić.

- Chuck? - zapytał Lyon. - To znaczy Charles Ware?

- Trafiałeś.

- Charles wyjeżdża?

- Aha - Hunt pochylił głowę, odpowiadając na pytanie i jednocześnie dziękując ukłonem za szklanekę mrożonej herbaty, którą mu podała Margaret. Wypił spory łyk i kontynuował: - Dostał posadę w przedsiębiorstwie naftowym w którymś z krajów arabskich, nie pamiętam, gdzie. Nieważne. W każdym razie wyjeżdża w przyszłym tygodniu i jego rodzina wydaje pożegnalne przyjęcie na jego cześć.

- Czy ja znam tych ludzi? - zapytała Margaret.

- Wątpię, mamó.

- Państwo Ware to bardzo miła rodzina, tylko że nie zalicza się do wyższych sfer Cantrell - wyjaśnił Hunt. - Pan Ware jest kierownikiem nocnej zmiany w fabryce obuwia, a jego żona pracuje jako recepcjonistka w szpitalu.

- Rozumiem.

Z oczu Hunta zniknął uśmiech, pojawił się gniewny błysk.

- Państwo Ware to przyzwoici, ciężko pracujący i naprawdę sympatyczni ludzie - powiedział z łagodną wymówką. - Znam ich od dawna.

- Ależ nie mam nic przeciwko państwu Ware - próbowała załagodzić sytuację Margaret. Zwróciła się z uśmiechem do syna. - Kochanie, dlaczego nie miałbyś się przyłączyć do Hunta?

Lyon zrobił rozbawioną minę, ale nie wyglądał na przekonanego.

- Zdaje się, że ktoś mną manipuluje - zauważył.

- Oczywiście - zgodził się Hunt z uśmiechem. Szybko wrócił mu dobry humor.

- Oczywiście - podchwyciła z uśmiechem Margaret. - Nalegam, abyś przyjął zaproszenie przyjaciela Hunta na to pożegnalne przyjęcie i urodziny jego siostrzyczki.

„Siostrzyczka” obchodziła osiemnaste urodziny i cieszyła się z pełnoletności. Słyszając powitalny okrzyk Hunta, Elizabeth Ware odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

Lyon zatonął wzrokiem w ciepłym aksamicie jej brązowych oczu i w jednej chwili wszystkie kobiety, łącznie z Leslie, zostały wymazane z jego pamięci. Zapragnął Elizabeth z nagłą i przerażającą intensywnością.

- Elizabeth, pozwól sobie przedstawić mego przyjaciela, Lyona Cantrella - powiedział Hunt, komplet-

nie nieświadomy napięcia, jakie się nagle wytworzyło. Nie tylko w jego koledze, a właściwie między obojgiem, Lyonem i Elizabeth, gdyż pożądanie poraziło ich oboje w tym samym stopniu.

Lyon dostrzegł je w oczach Elizabeth i zrozumiał, że jest dla niej tak samo atrakcyjny, jak ona dla niego.

- Słynny Lyon Cantrell we własnej osobie? - Głos dziewczyny był równie aksamitny, jak jej oczy.

- Obawiam się, że tak - odparł, dziwiąc się, że udało mu się wydobyć głos z gardła. - Serdeczne życzenia z okazji urodzin, panno Ware - wyjąkał, podając jej małe pudełeczko z błyskotką, którą kupił po drodze w sklepie jubilerskim .

- O, dziękuję bardzo! - zawołała zaskoczona i z wyrazem zachwytu wyjęła z aksamitnego etui cienką złotą bransoletkę.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Ware.

- Panno Ware! - powtórzyła, patrząc spod rzęs na Hunta. - Podoba mi się twój przyjaciel, Hunt. Jest dobrze wychowany.

Wyciągnęła rękę z bransoletką do Lyona, aby pomógł jej zapiąć zameczek.

- W przeciwieństwie do mnie? - drażnił się z nią Hunt. Zrobiła wyniosła minę.

- Och, nie oczekuję od ciebie uprzejmości. Jesteś po prostu starym przyjacielem Chucka... i playboyem.

- Cios w samo serce! - wyrzyknął Hunt, kładąc rękę na piersi. - Między ósmym i dziewiątym żebrem!

- Zwrócił się do Lyona. - Czy mocno krwawię?

- Tylko trochę. - Lyon roześmiał się z ulgą, bo przez chwilę podejrzał, że uśmiech Elizabeth prze-

znaczony był dla Hunta. Ale gdy zapinał bransoletkę na jej rękę, przeszył go dreszcz. Spotkali się wzrokiem, a jej oczy powiedziały mu, że się rozumieją.

Zrozumiała to też młoda kobieta stojąca tuż za Elizabeth i na jej wesołej, sympatycznej twarzy odmalowało się rozbawienie i ciekawość.

- Czy ja jestem kołkiem w płocie? Czy noszę czapkę niewidkę? Czy może jestem tylko cieniem mojej przyjaciółki? - wyrzuciła z siebie lawinę pytań, patrząc z potępieniem na Hunta, że nie przedstawił jej nowego gościa.

- Czyżbyśmy grali w dwadzieścia pytań? - udał zdziwienie Hunt. - Teraz moja kolej pytać. Czy nasz inteligentny kolega, Chuck, ożeniłby się z kołkiem w płocie? Albo z cieniem przyjaciółki swojej siostry? - Udawał głęboki namysł, a reszta śledziła to przedstawienie z uwagą. - Myślę, że nie. *Ergo*, to musi być przyszła panna młoda. - Zwrócił się do Lyona. - Pozwól, że ci przedstawię narzeczoną Chucka i przyjaciółkę Elizabeth, pannę Jennifer Clouser.

- Czy ten facet jest stuknięty? - zapytała Jennifer, z uśmiechem podając Lyonowi rękę.

- Zawsze był - potwierdził Lyon, czując wdzięczność dla Hunta, że go tu przyprowadził.

Trochę później, gdy przyjęcie się rozkręciło, Lyonowi udało się przez parę cennych sekund porozmawiać z Elizabeth, będąc z nią sam na sam.

- Czy mogę mieć nadzieję, że zobaczymy się... wkrótce?

- Czy to ma być jakaś randka lub spotkanie?

- Tak.

Patrzyła na niego z uśmiechem.

- Kiedy?
- Jutro wieczorem?
- O której?
- Może o dziewiątej?
- Gdzie?
- Czy mogę przyjechać po ciebie samochodem?

Lyon wstrzymał oddech, gdy Elizabeth zastanawiała się przez chwilę.

- Czekaj na końcu uliczki - szepnęła, rozglądając się, niepewna, czy ktoś nie słyszy jej słów. - Będę stała przy drodze.

Zakreśliła się na pięcie, aż zaszumiała jej długa do kostek spódnica, i już jej nie było.

Lyon westchnął głęboko.

Była to ciepła, łagodna jak balsam noc. Księżyc świecił jasno. Zbliżała się pełnia. Lyon zaparkował samochód na rekreacyjnym terenie nad jeziorem, parę kilometrów od miasta, w cieniu rozłożystego drzewa.

Czuł się jak nastolatek. Rozgorączkowany, napięty i podniecony bardziej, niż mu się kiedykolwiek zdarzyło. Serce waliło mu w piersi i pociły się dłonie.

- Bardzo tu miło - powiedziała Elizabeth, opierając głowę o wysoki zagłówek.

- Tak.

Lyon usiadł bokiem na fotelu, aby na nią popatrzeć. Srebrzyste światło księżyca wydobywało z mroku jej twarz i pogłębiało wyraz oczu.

Niezdolny do myślenia i rozsądnego postępowania, kierowany wyłącznie instynktem, Lyon przysunął się bliżej i objął dziewczynę ramieniem. Gdy dotknął jej

ust, wydało mu się, że to jest prawdziwy powrót do domu. Elizabeth przyjęła go uchylonymi, wilgotnymi wargami, którymi zawładnął z żarłocznym pośpiechem.

Obydwoje zmierzali zgodnie i spontanicznie w jednym kierunku. Lyon całował ją na wszystkie sposoby, jakie znał, ze znajomością rzeczy, zdobytą w ciągu ostatnich lat. To powoli i delikatnie, to znów szybko i mocno. Głęboko. Jeszcze głębiej. Językiem badał słodkie wnętrze jej ust.

Elizabeth prężyła się i wyginała w łuk w niemym oczekiwaniu na dalsze pieszczoty. Choć oddech Lyona był gwałtowny i urywany, jego dłonie pozostały delikatne i czułe. Po chwili bluzka i staniczek zsunęły się z ramion dziewczyny. Lyon, szepcząc słowa pełne próśb i miłosnych wyznań, pieścił całe jej ciało, oddając mu hołd dłońmi, ustami, językiem. Tę wędrówkę zatrzymało zapięcie spódniczki.

- Czy mogę? - Wsunął palec pod pasek i usiłował go rozpiąć. - Pozwól mi, proszę.

Elizabeth przyzwoliła na to od razu, unosząc biodra, aby mu to ułatwić. Spódniczka razem z majteczkami zsunęła się z jej szczupłych dziewczęcych nóg. Swoje ubranie Lyon zrzucił kilkoma niecierpliwymi ruchami. Objął jej wąską talię dłońmi i pociągnął dziewczynę na siebie. Gdy poczuł dotyk jej gładkich ud, z gardła wyrwał mu się jęk rozkoszy.

- Elizabeth, czy jesteś pewna? Czy naprawdę chcesz tego?

Przeszedł ją dreszcz, który Lyon wyczuł na swojej skórze, ale odpowiedziała wyraźnie, choć cicho:

- Tak, chcę tego. Chcę ciebie.

Powoli, napawając się tą cudowną chwilą, Lyon opuszczał ją coraz niżej, czekając na wyraźniejsze zaproszenie do wejścia. Elizabeth przejęła inicjatywę. Opierając mu ręce na ramionach, nasunęła się na niego, niesiona pragnieniem doznania rozkoszy. Ciało Lyona doznało cudownego uczucia satysfakcji, ale umysł zarejestrował niezbity fakt dziewictwa partnerki.

- Dobry Boże, Elizabeth! Nie miałem pojęcia...

- Cicho - zamknęła mu usta pocałunkiem. - Wszystko w porządku. Chciałam, aby to się stało. Z tobą. Ból jest nieważny.

- Ale...

- Nie. Już minęło. Kochaj mnie, Lyon.

Tej prośbie nie mógł odmówić. Korzystając z jej przyzwolenia, oddał się całemu miłostnemu aktowi z takim zapamiętaniem, jakiego nie przeżył z żadną kobietą. I mimo tych gwałtownych emocji już po chwili poczuł niedosyt. Gdy poruszył się w niej, spojrzała na niego zamglonymi z rozkoszy oczami.

- Znowu? - spytała niedowierzająco.

- Tak, ale boję się ciebie urazić. - Poczuł wyrzuty sumienia. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj, Lyon. Kochaj mnie.

Lyon słyszał słodki głos Elizabeth każdego wieczora w czasie tych pamiętnych wakacji. Na długo przed ich końcem wiedział po raz pierwszy w życiu, że był beznadziejnie, głupio zakochany. Elizabeth wypełniała jego noce i dni ciepłem i czułością, miłością i śmiechem. Była delikatna, inteligentna, dowcipna i wrażliwa. Była ideałem kobiety. Wyznał jej swą

miłość ostatniego wieczoru przed powrotem do Nowego Jorku.

- Ja też cię kocham, Lyon! - wykrzyknęła, zarzucając mu ręce na szyję i przytulając się do niego z całej siły. - Kocham cię bardzo, bardzo mocno.

Ustami szukała jego ust i przywarła do niego z całej siły.

- Zabierz mnie ze sobą, proszę cię.

- Nie mogę, kochanie, wiesz o tym - odrzekł, sprawiając tą odmową tyleż cierpienia sobie, co i jej. Nie chciał się z nią rozstawać nawet na chwilę, ale była przecież taka młoda, a on nie rozmawiał o ich związku ani z jej rodzicami, ani ze swoimi. Jednak wiedział, że zostawić ją nawet na dwa tygodnie będzie dla niego piekłem.

- Postaram się przyjechać na następny weekend - obiecał, całując głodnymi ustami jej policzki, skronie i oczy. - Jeśli będę mógł, to zadzwonię i zawiadomię cię o godzinie przyjazdu.

- Będę czekała - przyrzekła, obejmując go mocno i tuląc się do niego. - Będę czekała. Przecież należę tylko do ciebie.

- Elizabeth!

- Lyon, najdroższy!

I znów połączyli się w ekstatycznym miłosnym akcie, który wiódł ich do raj.

- Dobrze się pan czuje, młody człowieku?

Zatroskany głos starszego pana ściągnął Lyona z obłoków na ziemię. Zamrugnął oczami i uśmiechnął się półprzytomnie.

- Tak, dziękuję panu.

Na czole miał krople potu, wcale nie z powodu upału.

Starszy pan zawahał się, z ręką na ozdobnej klamce drzwi magazynu.

- Zbladł pan okropnie. Czy to z powodu temperatury?

Lyon z ulgą chwycił się tej wymówki.

- Tak sądzę - odparł. - Rozpieściła nas klimatyzacja w domach, biurach, a nawet w samochodach.

- Da pan sobie radę?

- Tak, i serdecznie dziękuję jeszcze raz za pańską troskliwość.

Starszy pan wszedł do sklepu, a Lyon znów skupił uwagę na młodej kobiecie, która oparta o słupek licznika, tupała lekko nogą, zapewne znieczierpliwiona czekaniem.

- Na kogo czeka? - zastanawiał się Lyon. - Na mężczyznę? Obecnego kochanka? Na niego wtedy nie poczekała. Dziesięć lat temu.

Zacisnął usta w twardą, zaciętą linię, gdy zaczął przypominać sobie tamte, pełne niepokoju tygodnie po swoim powrocie do Nowego Jorku.

Jego ojciec zdecydował, że dwa tygodnie to wystarczająco długi odpoczynek, aby przywrócić synowi pełną zdolność do pracy, i przygotował na jego powrót program tak wypełniony zajęciami, że mógł stanowić wzór dla właściciela niewolników.

Zakochany, pełen siły i radości życia, Lyon z uśmiechem przyjął decyzję ojca. Lecz ponieważ obowiązki wzywały go do trzech państw w Europie, zdawał sobie

sprawę, że nie wróci po tygodniu ani do Stanów, ani do Cantrell.

Zatelefonował do Elizabeth, aby się wytłumaczyć. Usłyszał od niej, że to rozumie, choć bardzo za nim tęskni. Sprawiała mu radość, wyznając, jak marzy, aby znów znaleźć się w jego ramionach. Czując taką zachętę, Lyon pracował ile sił, aby skrócić czas swej delegacji, i wykonał zadanie w pięć tygodni, zamiast w sześć. Kiedy tylko miał okazję, dzwonił do Elizabeth. Ale rozmawiał z nią tylko ten pierwszy raz. Potem ciągle była nieobecna, a przez ostatnie dziesięć dni telefon milczał tajemniczo.

Gdy wreszcie wsiadł do samolotu, aby wrócić do Nowego Jorku, był kłębkim nerwów, szarpany najrozmaitszymi wątpliwościami i niepokojem.

Gdzie ona przebywała? Czy była zdrowa? Czy coś się stało? I dlaczego, do diabła, nikt nie odbierał telefonu? Wykręcił jej numer, jak tylko wszedł do swojego mieszkania, ale telefon milczał jak zakłęty. Pierwszy raz w życiu, przeżywając ogromny strach, Lyon jechał samochodem do Cantrell, przekraczając po drodze wszystkie ograniczenia szybkości.

Elizabeth zniknęła. Zresztą nie tylko ona. Zniknęła cała jej rodzina, dom był opuszczony i pusty. A co najgorsze, nikt z sąsiadów ani znajomych nie wiedział lub udwał, że nie wie, dokąd państwo Ware się udali. Lyon zdołał jedynie dowiedzieć się, że Chuck i jego żona byli na Bliższym Wschodzie. Nawet Hunt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego cała rodzina tak nagle się wyprowadziła.

Lyon szalał z niepokojem i zmartwienia. Dopytywał się szukał. a nawet wynajął prywatnego detektywa.

Wszystko na nic. Ware'owie nie zostawili za sobą żadnego śladu.

W końcu Lyon doszedł do wniosku, że Elizabeth i jej rodzice nie życzyli sobie, aby ich odnalazł.

Teraz, z oczami świecącymi od bezsilnego gniewu, Lyon wpatrywał się w jedyną miłość swego życia.

Elizabeth!

Nawet wymawiając w myśli jej imię, czuł ból, jakby rozpalonym żelazem dotykał nie zabliźnionej rany. Była piękniejsza niż dziesięć lat temu.

Jeszcze raz zerknęła na zegarek, a potem utkwiała wzrok w drzwiach salonu fryzjerskiego. W pewnej chwili promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz, a Lyon poczuł, że lodowacieje.

Kim był ten ktoś? Kogo wyczekiwała z taką niecierpliwością? Jak wyglądał ten człowiek, zdolny wywołać na jej pięknej twarzy ten radosny uśmiech? Takie myśli torturowały Lyona, gdy za przykładem Elizabeth przeniósł swój wzrok na drzwi salonu fryzjerskiego.

Wyszedł z nich wysoki, smukły chłopiec, wyglądający na dziewięć lub dziesięć lat, i z radosnym uśmiechem podbiegł do Elizabeth.

Lyon poczuł, jakby dostał cios w żołądek. Patrząc na chłopca, miał wrażenie, że widzi siebie samego sprzed dwudziestu siedmiu lat. W głowie poczuł zamęt. To niemożliwe! - krzyczało coś w nim.

Ból rozrywał mu piersi. Czy to możliwe? Myśli kłębiły się w głowie jak szalone. Boże, czy to może być prawda? To musi być prawda! Miał tu, przed sobą, żywy dowód. Patrzyła na niego jego własna twarz. Ten chłopiec był jego synem! Niech piekło pochłonie Elizabeth! Jak mogła być taka podła?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy już dojeżdżamy?

- Prawie.

Elizabeth na chwilę oderwała wzrok od krętej drogi, którą jechali, aby spojrzeć na syna. Siedział na fotelu obok, przypięty pasem. Wyglądał na zmęczonego, czemu trudno się było dziwić, bo wyruszyli z domu rano, a teraz było prawie południe.

- Jesteś głodny?

- Tak - odparł z uśmiechem, który wywołał w jej pamięci twarz kogoś, o kim nadaremnie starała się zapomnieć. - Mam nadzieję, że ciocia Jenny będzie czekała na nas z pyszną kolacją.

- Jestem pewna, że tak... - odparła Elizabeth, myśląc o trzech synkach swego brata, wiecznie głodnych malcach, żywych jak iskry.

- Może ciocia zrobiła spaghetti? - Ciemnoniebieskie oczy Mitcha załśniły na tę myśl. - Albo lasagne.

Młasnął językiem. - Ciocia Jenny robi najlepsze w świecie lasagne.

Nauczyła się tej sztuki od swojej matki - wyjaśniła Elizabeth. - Jej matka jest Włoszką i pokazała Jenny, jak się je powinno robić.

Szkoda, że ciebie nie nauczyła.

Mitchell! wykrzyknęła Elizabeth z udanym

oburzeniem. - Doskonale wiesz, że jestem dobrą kucharką. Zawsze pochłaniasz wszystko, co tylko przed tobą postawię.

- Zgadza się - uśmiechnął się chłopiec, odsłaniając równe, białe zęby, przypominając jej jeszcze raz twarz człowieka, którego kiedyś kochała.

- Lubię twoją pieczeń wołową - mówił dalej Mitchell, głaszcząc się po swym zapadniętym brzuchu - i ciasto czekoladowe. Albo kurczęta na grillu, i wafle, i...

- Dobrze, że już jesteśmy na miejscu - zaśmiała się Elizabeth, skręcając na drogę prowadzącą do górskiej chatki, którą jej brat kupił parę lat temu. - Jeszcze parę minut i zacząłbyś obgryzać palce.

- O, tu jest bombowo! - wykrzyknął Mitchell na widok drewnianego, piętrowego domu, który ukazał się jego oczom. Było to nowe powiedzonko, które sobie ostatnio przyswoił, i posługiwał się nim nieustannie dla wyrażenia aprobaty. Z nerwowym pośpiechem odpiął pas i wyskoczył z samochodu. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że składał się wyłącznie z nóg, rąk ... i entuzjazmu.

- Mamo, pośpiesz się! - krzyczał niecierpliwie.

Zanim Elizabeth zdążyła go skarcić za niewłaściwe zachowanie, z domu wypadła trójka hałaśliwych maluchów i zasypała ich pytaniami.

- Mitch, gdzie się podziewałeś?

- Co cię zatrzymało?

- Czekaliśmy i czekaliśmy!!

Pytania i wykrzykniki padały jak seria z karabinu maszynowego.

- Wstąpiliśmy do fryzjera, aby mi obciął włosy
- odparł Mitch w formie wyjaśnienia.

- Po co? - zapytał Chuck, najstarszy z trójki.

- Wyglądasz jak kula bilardowa - zaopiniował Bill, krzywiąc się.

- Mama mi kazała - powiedział Mitch rozżalonym tonem.

- Wyrodna matka! - dołączyła się do rozmowy Jenny, matka całej trójki. - W jaki sposób stałaś się taką niegodziwą osobą?

- Przez upór i ćwiczenia - odparła ze śmiechem Elizabeth, wysiadając z samochodu i poddając się uściskom swej przyjaciółki i bratowej.

- Wyglądasz świetnie, Jen. Jak udaje ci się unikać siwizny przy tych trzech szatanach?

- Stosuję wielkie ilości farby do włosów - wyjaśniła Jenny. Przyjrawszy się przyjaciółce, dodała: - Ty też wyglądasz nie najgorzej. Co robisz, że stale jesteś taka szczupła?

- To łatwe - Elizabeth machnęła lekceważąco ręką.

- Po prostu niewiele jem.

- Nigdy nie jadłaś zbyt wiele - przypomniała jej Jenny. - Należysz do tych osób, które jedzą, aby żyć. A nie odwrotnie.

Jedzenie! - wykrzyknął z entuzjazmem Mitch, usłyszawszy, o czym mówią. - Ciociu Jen, co będzie na kolację?

Jedzenie! Jedzenie! - wtórowali Bobby i Billy, skacząc i tańcząc wokół Mitcha.

Zdaje się, że oni chcą nam coś zasugerować
zaśmiała się Elizabeth.

- Całe szczęście, że wszystko jest gotowe - powiedziała Jenny i obie panie schroniły się do domu, w którym chwilowo panowała przyjemna cisza.

- Czy wiesz, że on wrócił?

Było już dawno po kolacji. Chłopcy leżeli w łóżkach, przegrawszy w końcu bitwę ze snem. Głos Jenny przerwał błogą wieczorną ciszę.

- Wrócił?

Elizabeth zmarszczyła brwi i spojrzała za okno, jakby spodziewała się widoku nadjeżdżającego auta. Ale nic nie mąciło spokoju nocy, więc skierowała spojrzenie na Jenny, siedzącą w fotelu naprzeciw niej.

- Kto wrócił?

- Nasz górski lew. Słyszałam, że miejscowi tak teraz nazywają Lyona.

Niepokój ogarnął Elizabeth. Tknęło ją przecucie grożącego niebezpieczeństwa, a myśl pobiegła natychmiast do syna, spokojnie śpiącego na górze w pokoju chłopców. Obraz Mitchella pojawił się jako wyraźna chłopięca replika człowieka, który obdarzył ją dzieckiem, a potem porzucił, dodając do krzywdy zniewagę w formie czeku na bardzo wysoką sumę, jak gdyby pieniądze, choćby największe, mogły zwolnić go z zobowiązań i odpowiedzialności oraz przekreślić jej miłość, oddanie, zniwelować poczucie krzywdy.

Nie zdawała sobie sprawy, że kręci głową w milczącym proteście. Nie, los nie powinien być tak złośliwy, żeby kazać jej wrócić do rodzinnego miasteczka w tym samym momencie, kiedy zjawił się tu człowiek, którego z wielkim trudem unikała przez dziesięć lat.

- Górski lew? - powtórzyła Elizabeth, nie chcąc pogodzić się z tą nowiną. Wyrzała przez okno. Ciemności kryły wzgórze, ale wiedziała, że prywatna posiadłość rodziny Cantrellów i dom, górujący nad doliną i całym miasteczkiem, ciągle tam są.

- Dziki górski lew, skradający się w poszukiwaniu ofiary - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Poluje, a może gniewnie warczy, jeśli to prawda, co mówią w mieście.

- A co mówią?

- Że się zmienił, zamknął w sobie, trzyma się z dala od wszystkich, twardy, ostry, zupełnie nie ten sam człowiek. - Jenny wreszcie powiedziała to jasno, bez przerośni, otwarcie. Tajemnica przestała być tajemnicą.

- Lyon. - Szept Elizabeth ledwo doszedł do uszu Jenny.

- Tak - skinęła głową. - Lyon Cantrell.

Elizabeth poczuła, że ogarnia ją panika. Chwyliła się poręczą fotela, aby nie zerwać się i nie uciekać, gdzie ją oczy poniosą, tak szybko, jak to tylko możliwe. Serce tłukło się jej w piersi, oddech stał się urywany.

- Muszę wyjechać. Muszę zabrać Mitcha i wyjechać - mówiła, obrzucając pokój niespokojnym spojrzeniem, jakby szukała kryjówki.

- Elizabeth - powiedziała z naciskiem Jenny uspokój się. Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę eksplodować. - Głos jej złagodniał. - Mitch śpi. Nie mozesz zrywać go ze snu o tej porze i uciekać, ciągnąc ze sobą nie wiadomo dokąd.

Elizabeth spojrzała na bratową wzrokiem osoby zaszczutej

- Muszę. Nie mogę ryzykować, że go gdzieś spotkam. Może mnie zauważyć w mieście, gdziekolwiek...

Głos jej się załamał, oczy rozszerzyły strachem.

- Opanuj się - powiedziała stanowczo Jenny - i siedź spokojnie - dodała, widząc, że Elizabeth gotowa jest zerwać się i uciekać, gdzie pieprz rośnie. - No więc, dobrze. On tu jest i ty też. Wygląda na to, że zamierza zostać tutaj na stałe. A ponieważ ty będziesz tu przez miesiąc, możliwe, że się na niego natkniesz. No i co z tego? Lyon porzucił cię i wyrzekł się dziecka dziesięć lat temu. - Głos jej, zwykle tak łagodny i ciepły, przybrał ostry i twardy ton. - Gdybyś go nawet spotkała, wolno ci spojrzeć mu prosto w oczy i nie przebijając w słowach powiedzieć, co o nim sądzisz.

Palce Elizabeth zaciskały się kurczowo na poręczy fotela, a w jej oczach widniał strach, który nosiła w sobie od tylu lat.

- Jen, nie rozumiesz - wyszeptała wreszcie w rozpaczy. - Ty nie wiesz...

- Właśnie, że wiem - przerwała Jenny współczującym tonem, a potem dodała zniecierpliwiona: - Bardzo bym chciała, żeby Chuck tu był, a nie włóczył się po całej Europie w sprawach firmy. Od dawna chciał spotkać się oko w oko z Lyonem. Uważasz, że ja o niczym nie wiem. Elizabeth, my oboje dobrze wiemy, jakie to było dla ciebie okropne przeżycie. Przecież my tu wtedy byliśmy, nie pamiętasz?

Jenny odsunęła krzesło i wstała, mówiąc:

- Od lat mam w domu jakieś śmiesznie drogie wino, które trzymam na specjalną okazję. Wydaje mi się, że powinniśmy się czegoś napić.

Słowa Jenny i hałas odsuwanej krzesła z trudem przedzierały się przez przygnębienie, jakie ogarnęło Elizabeth. Dziewczyna zdawała się niczego nie słyszeć. Ale rozmowa z bratową nieoczekiwanie poruszyła głęboko ukryte pokłady pamięci, gdzie żyły wspomnienia zdolne zburzyć całą równowagę.

Świat Elizabeth począł się chwiać. Bezbronna wobec bolesnych wspomnień, osuwała się w mroczne głębie i znów przeżywała to, co wydarzyło się dziesięć lat temu.

Elizabeth była tak szczęśliwa i radosna, jak tylko może być młoda, zdrowa dziewczyna w piękny letni dzień. Ukończyła szkołę. Nadeszły wreszcie długo oczekiwane osiemnaste urodziny. Jej rodzina planowała huczną uroczystość - rzekomo jako pożegnanie jej brata, który dostał awans i znaczną podwyżkę pensji, związaną z przeniesieniem do pracy w jednym z krajów arabskich. Chuck miał wyjechać razem z Jenny, zaraz po ich ślubie, który wyznaczono za kilka tygodni.

Postanowiono, że ta uroczystość będzie jednocześnie doskonałą okazją do uczczenia osiemnastych urodzin Elizabeth. Oczywiście miała to być dla niej niespodzianka, wobec czego Elizabeth udawała, że o niczym nie wie. Sprawiało jej to ogromną trudność, gdyż była bardzo podniecona.

Gdy rozległy się wiwaty na jej cześć i zaczęto składać życzenia, musiała odegrać rolę osoby zaskoczonej, co okazało się ciężką próbą dla jej aktorskich zdolności.

Ale jeszcze cięższa próba nadeszła, gdy przyjaciel brata, Hunt Canon, zjawił się na przyjęciu w towarzystwie Lyona Canrrella.

Znała Lyona z widzenia od wczesnych lat szkolnych, choć nie uczęszczał do miejscowego liceum ani nie trzymał się z młodzieżą w swoim wieku. Nie był też zaprzyjaźniony z nikim z jej grona. Zakochała się w nim, gdy miała piętnaście lat. Początkowo było to po prostu zauroczenie wysokim, przystojnym błękitnokim młodzieńcem, pięknym jak Adonis. Takim uczuciem darzy się bohaterów. W jej młodych, niewinnych oczach był ideałem mężczyzny. Ale nawet ona sama uważała, że z czasem jego urok zblednie, że o nim zapomni. Jednak nie zapomniała, wręcz odwrotnie.

Choć w ciągu następnych trzech lat widywała go rzadko i przelotnie, uczucie podziwu rosło, przeradzając się w słodką, bolesną miłość młodej dziewczyny do dojrzałego mężczyzny.

Fakt, że pojawił się u niej w domu i składał jej życzenia z okazji urodzin, był dla niej słodszy niż wszystkie słodczyce świata.

Wręczył jej podarek - delikatną złotą bransoletkę z kutych ogniwek. Elizabeth, wyciągnąwszy do niego rękę, poprosiła, aby Lyon ją zapiął, a w duszy poprzysięgła sobie, że nigdy jej nie zdejmie.

Poczuła się zachwycona i szczęśliwa, gdy w pewnej chwili poprosił ją o spotkanie. Bez wahania, w tajemnicy przed wszystkimi, umówiła się z nim na randkę. Pierwszego wieczoru oddała mu się spontanicznie, a w czasie następnych spotkań, gdy uprawiali cudowną, gorącą i szaloną miłość, tylko ta lśniąca bransoletka zdobiła jej ciało.

Pięć tygodni później Elizabeth złamała swoją przysięgę oraz zameczek bransoletki, zerwawszy ją z ręki,

aby cisnąć złotą ozdobę daleko za siebie. Jednak już pięć minut później, płacząc i szukając zguby na kolanach, nawymyślała sobie od idiotek i schowała podarunek Lyona w welwetowym etui na dnie kartonowego pudła, zawierającego najdroższe pamiątki. Bransoletka pozostała tam ukryta od tego straszego dnia.

Potworny, niezapomniany dzień. Dreszcz przebiegł ciało Elizabeth. Nawet po dziesięciu latach pamięć o tym dniu miała moc dotkliwego ranienia jej uczuć, odnawiania bólu i przeżytych upokorzeń.

Oddała się Lyonowi ciałem i duszą, w radosnym porywie miłości. Lyon przyjął ten dar, ale potem dał jej w zamian gorycz i wstyd.

Jak mogła dać się tak oszukać?

Ten problem dręczył Elizabeth przez następnych dziesięć lat, najpierw jako świadome pytanie, a potem jako tłumiony, niesprecyzowany, ale zawsze obecny żal.

Wierzyła, że Lyon prawdziwie ją kochał, tak bardzo jak ona jego. Ufając mu bezgranicznie, napawała się fizycznym, nieskrępowanym aspektem ich wzajemnej miłości.

Ale Lyon w istocie nie kochał jej wcale. Elizabeth nic obchodziła go. Nie miał nawet tyle przyzwoitości, u by odepchnąć ją i jej mające się narodzić dziecko osobiście. Tego fatalnego, straszliwego dnia wysłał swego ojca z książeczką czekową w rękę -jako swego przedstawiciela.

W oddali rozległ się grzmot i odbił się bolesnym echem w rozgorączkowanym mózgu Elizabeth. Napór gorzkich wspomnień przyprawiał ją o ciężki ból głowy.

- Beth, dobrze się czujesz?

Elizabeth otrząsnęła się z zamyślenia, zamrugowała powiekami i zwróciła pociemniałe od cierpienia oczy w stronę Jenny.

- Nie - przyznała, wstrząsając się przy następnych grzmotach. - Boję się.

- Lyons czy burzy? - Jenny wzniosła brwi do góry i podała kieliszek z rżniętego szkła, po brzegi wypełniony złotawym płynem.

- Lyons - odrzekła Elizabeth, a samo wymówienie jego imienia spowodowało drżenie jej ręki.

- Dlaczego? - Jenny zmarszczyła brwi. - Co on ci może zrobić?

Lodowaty dreszcz przebiegł wzdłuż pleców Elizabeth. Pamięć tego, co Lyon mógł zrobić i robił razem z nią, była tak świeża, jakby to działo się wczoraj, a nie dziesięć lat temu.

W tej chwili jeszcze mogła odtworzyć niezwykle przeżycia i emocje, które tylko on potrafił w niej wzniecić, przerażające i podniecające zarazem.

- Chodzi o Mitchella - szepnęła, nie chcąc się przyznać, jak bardzo Lyon panował nad jej zmysłami, nawet i teraz. - Nie chcę, żeby ten człowiek kiedykolwiek zobaczył Mitcha.

Jenny pokręciła głową z rezygnacją i opadła na krzesło.

- A więc znowu zamierzasz uciekać? Jak kiedyś?

- Muszę.

- Jak długo jeszcze?! - Jenny wypięła spory łuk wina. - Nie jesteś zbiegiem ani przestępczynią, na litość boską! Dlaczego masz utrudniać sobie życie,

unikając Lyona, a nawet uciekając przed nim? - Głos Jenny nabrał twardych akcentów. - To on był winien temu, co się stało, nie ty.

Elizabeth zwilżyła wysychające ze zdenerwowania usta łykiem wina.

- Wiem, ale... - głos jej zamarł, gdy następny grzmot przetoczył się przez góry. Burza zbliżała się i wywoływała napięcie w całym ciele, a przynajmniej Elizabeth tak tłumaczyła powstające w niej odczucia.

- Lew' górski jest jak letnia burza - uspokajała samą siebie Elizabeth. - Stwarza zagrożenie, które szybko przemija.

- Och, jak mnie to denerwuje! - wybuchnęła Jenny. Elizabeth zamrugała powiekami, nie rozumiejąc.

- Burza? - zapytała.

- Tak, ale nie ta na zewnątrz. - Jenny pochyliła się ku niej. - Tylko ta, która szaleje w tobie. Do diabła, to niesprawiedliwe! Wiem, jak czekałaś na te wakacje z Mitchellem. Pracowałaś ciężko przez te wszystkie lata, ucząc się i wychowując syna. Osiągnęłaś bardzo wiele, zdobyłaś odznakę pilota i posadę na liniach lotniczych Mid-Continental, stanowisko drugiego nawigatora, wszystko w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy. - Zdenerwowanie brzmiało w głosie Jenny. - To naprawdę nie jest fair. Nie widzę powodu, żebyś uważała za konieczne natychmiast uciekać i ukrywać się tylko dlatego, że ten facet pojawił się w okolicy.

Elizabeth mimo zdenerwowania uznała, że bratowa ma dużo racji. Od lat ciężko pracowała, cholernie

ciężko. I chociaż każda chwila spędzona z synem sprawiała jej wielką radość, musiała często z tego rezygnować, aby uczyć się latania i dodatkowo uczęszczać na niezwykle trudny kurs dla kandydatów do pracy na liniach lotniczych Mid-Continental. Osiągnęła w efekcie bardzo dużo, mogła przyznać to bez cienia zarozumiałości. Zostać drugim nawigatorem w półtora roku - to był niewątpliwie sukces. Nikogo nie krzywdziła tym, że kochając swego syna, jednocześnie uwielbiała latać. Ale nie przyszło jej to łatwo. Dlatego też nie pragnęła tych wakacji, ona ich potrzebowała.

Dlaczego jednak Lyon wrócił po tylu latach na „miejsce zbrodni”?

- Jenny, zastanawiam się, co sprawiło, że Lyon postanowił tu wrócić właśnie teraz - spytała bratową - biorąc pod uwagę fakt, że nigdy nie spędzał wiele czasu w Gantrell?

- Częściowo z powodu śmierci swojego ojca, jak sądzę.

Elizabeth spojrzała na nią zdziwiona.

- Pan Cantrell umarł?

- Tak. Jakies pół roku temu, o ile wiem. Podobno był to zawał. - Usta Jenny, zwykle łagodnie uśmiechnięte, wykrzywił teraz grymas gniewu. - Nikt bardziej niż on na to nie zasługiwał.

Elizabeth pomyślała, że powinna jakoś zareagować na ten nielitościwy osąd, ale nie mogła się na to zdobyć. Tak pewny siebie, despotyczny człowiek budził w niej tylko gorycz - żywy czy martwy.

- Powiedziałaś „częściowo z powodu śmierci oj-

ca" - zauważyła. - Czy słyszałaś o innych przyczynach, dla których tu zamieszkała?

- Ależ tak. O niejednym - zaśmiała się Jenny. - Wiesz, że tutaj wszyscy wszystko wiedzą. A plotki o Lyonie to popularna rozrywka.

Elizabeth z takim zainteresowaniem słuchała tych wieści, że nie zwracała uwagi na bliskie i coraz głośniejsze uderzenia piorunów.

- A zatem powiedz, co słyszałaś? Co sądzą ludzie na ten temat?

- Nic nie sądzą, bo niewiele wiedzą o Lyonie. Są tylko najrozmaitsze dociekania i spekulacje. - Jenny machnęła lekceważąco ręką. - Ale Lyon ma w Cantrell ustaloną opinię. - Napełniła na nowo kieliszki.

Elizabeth westchnęła.

- Powiesz mi, czy mam zgadywać?

- Czy chcesz usłyszeć wszystkie opinie, które krążą tu na jego temat?

- Dlaczego nie? - powiedziała Elizabeth, spodziewając się najgorszego.

Jenny wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo. Mówi się, że Lyon stał się: zimny, twardy, bezlitosny, bez serca, zamknięty w sobie, surowy, wymagający i arogancki w najwyższym stopniu. - Głos jej zabrzmiał szyderczo. - Jest to niemal portret bohatera, a raczej antybohatera z taniego włoskiego westernu, nieprawda?

- Tak, ale to wizerunek budzący strach.

Jenny prychnęła pogardliwie.

- To zależy, czego się boisz. Według mnie ten facet jest zwykłym frajerem.

Ale ty, pomyślała Elizabeth, nie jesteś matką jego nieślubnego dziecka. Nie wdawała się jednak w dyskusję i pytała dalej:

- Powiedziałaś, że były różne spekulacje na temat zmian w jego charakterze.

- Tak, mnóstwo - zaśmiała się Jenny. - Małe miasteczka są cudowne. Prawie każda osoba, z którą rozmawiałam, miała inną teorię. I to jest zadziwiające. Jedni uważają, że to z powodu śmierci ojca; inni znów sądzą, że przyczyną były stresy i przemęczenie pracą, gdyż ten człowiek przez całe lata żył wyłącznie dla dobra firmy. Najwięcej zwolenników miała opinia, że drastyczne zmiany w charakterze Lyonsa spowodowało odejście jego żony i ostateczny rozpad ich małżeństwa, szczególnie że nastąpiło to wkrótce po śmierci jego matki.

Elizabeth doznała następnego wstrząsu. Nie zdawała sobie w pełni sprawy, dlaczego ta nowina zrobiła na niej tak silne wrażenie, a nawet bała się dociekać przyczyny tak gwałtownej reakcji na tę wiadomość.

- Lyon się rozwiódł?

- Tak - skinęła głową Jenny - jakieś trzy, cztery lata temu. To małżeństwo nie trwało podobno dłużej niż rok.

- Trzy czy cztery lata - powtórzyła Elizabeth, nie rozumiejąc. - A ja sądziłam... Byłam pewna... Powiedziano moim rodzicom...

- Co powiedziano? - dopytywała się Jenny.

Policzki Elizabeth pokryły się rumieńcem na wspomnienie przeżytego upokorzenia.

- Pan Cantrell przyszedł do naszego domu, d/icięć

lat temu, po uprzedniej rozmowie z moim ojcem przez telefon. Tata, zniecierpliwiony tym, że nie może skontaktować się z Lyonem, powiedział mu ze złością, że ja jestem... - przerwała i przełknęła z trudem ślinę, czując, jak wstyd barwi jej policzki rumieńcem.

- Mów dalej - domagała się Jenny, patrząc na nią z napięciem.

Nie do wiary, jaki ból sprawiało jej mówienie o tym nawet po tylu latach. Westchnęła głęboko i podjęła opowiadanie.

- Tatuś powiedział panu Cantrellowi, że jestem w ciąży i że Lyon zostanie ojcem. - Miękkie wargi Elizabeth zacisnęły się w wąską linię. - Pan Cantrell obiecał, że przekaże tę wiadomość synowi. Dwa dni później znowu zjawił się u nas... gotów do załatwienia sprawy.

- Przy pomocy pieniędzy?

- Tak - Elizabeth westchnęła. - Zachowywał się bardzo miło, uprzejmie, okazywał współczucie...

Zamknęła oczy, walcząc z napływem bolesnych wspomnień i łzami.

- Czy pan zarzuca mojej córce kłamstwo? - zagrzemiał ojciec Elizabeth, Ralph. Jego szczupła sylwetka dygotała ze wzburzenia, a żółtawa zazwyczaj twarz gorzała od tłumionej wściekłości.

- Nie, oczywiście, że nie - mówił łagodnym tonem pan Cantrell, przyoblekając swą surową, patrycjuszowską twarz w wyraz żalu. - Ale rozumie pan chyba, że również trudno mi jest zarzucać kłamstwo memu synowi. W najbliższych dniach mamy ogłosić jego zaręczyny z panną Leslie Broadworth, której

rodzina żyje z nami w przyjaźni od wielu lat. - Uniósł ramiona w geście bezradności. - Cóż j'a mogę zrobić?

Wydawało się, że Ralph eksploduje.

- Ale, do diabła, człowieku, pański syn tu zawinił! Lyon jest dojrzałym mężczyzną. Elizabeth to jeszcze prawie dziecko. Powinno to być dla pana jasne, że on wykorzystał niewinną dziewczynę.

Wyraz twarzy pana Cantrella zmienił się, stwardniał. Ten zazwyczaj opanowany mężczyzna zadrżał z oburzenia.

- Mój syn, proszę pana, został wychowany na dżentelmena!

- Ale zostanie ojcem!

- On temu zaprzecza - odparł pan Cantrell.

Ralph trząsał się z tłumionej wściekłości.

- Możemy otrzymać nakaz sądowy zbadania krwi, co udowodni ponad wszelką wątpliwość...

- Nie! - Elizabeth miała dosyć słuchania tego upokarzającego sporu. Lyon nie chciał jej ani ich wspólnego dziecka. Wolał się ożenić z inną, bardziej do niego pasującą kobietą, której rodzina była od dawna związana przyjaźnią z jego rodzicami. Odkrycie tej perfidii było miażdżącym ciosem dla jej uczuć i dumy. Nie mogła i nie chciała poniżyć się, zmuszając go do uznania swych praw na drodze sądowej.

- Co to znaczy „nie”? - ojciec zwrócił się do niej z gniewem. - Czy ty niczego nie rozumiesz? Twój Lyon cię porzuca. Zostawia cię na pastwę losu, abyś sama troszczyła się o jego bękarta. Ten suki...

- Ralph! - Gloria, matka Elizabeth, przerwała mu

cichym głosem, nabrzmiętym poczuciem klęski. - Obe-
lgi nic tu nie pomogą.

Zwróciła oczy zgaszone bólem i zawodem na ojca
Lyona.

- Lubiłam pana syna i ufałam mu.

- Dziękuję pani.

- Ale - kontynuowała - widzę teraz, że moja ufność
nie miała podstaw. Jeśliby to zależało tylko ode mnie,
nalegałabym na udowodnienie ojcostwa. - Wes-
tchnęła i spojrzała na Elizabeth. - Ale nie ja tu
decyduję, lecz moja córka.

Elizabeth czuła się odepchnięta, wstrząśnięta do
głębi i zdruzgotana. Rozpaczy, która nią miotała, nie
mógł ukoić zwykły płacz. Lyon żenił się z kobietą,
która mu odpowiadała ze względu na pozycję społecz-
ną. Chciała gdzieś biec, ukryć się, zwymiotować.
Jedyne, co jej pozostało, to resztki dumy. Unosząc
głowę do góry, dzielnie wytrzymała wzrok trzech par
oczu zwróconych na nią.

- Nie zgadzam się na oddanie sprawy do sądu
- powiedziała cicho, ale zdecydowanie.

I wtedy jej ojciec wybuchnął wściekłością.

- Elizabeth, dziewczyno, pomyśl! Czy zdajesz sobie
sprawę, jaka przyszłość cię czeka? Wszystkie twoje
plany, studia, nauka pilotażu...

- W tej sytuacji - przerwał pan Cantrell - oczywiście
chętnie udzielę wszelkiej pomocy.

Wysokość sumy, jaką zaoferował, oszołomiła Ral-
pha i Glorię, a Elizabeth przyprawiła o nowy atak
mdłości. Suma była gigantyczna i, według niej, równo-

znaczna z przyznaniem się do winy. Walcząc z mdłościami, Elizabeth potrząsnęła głową i powtórzyła:

- Nie!

Ale tym razem nie zwracano uwagi na jej protesty. Nawet jej matka była przeciwko niej. Interes ubito. Rodzina Ware'ów została przekupiona. Zgodzono się zwinąć namioty, spakować manatki i zniknąć z miasta na zawsze.

- Często się zastanawiałam, co jeszcze zdarzyło się w czasie tego spotkania.

Niezupełnie świadoma, że relacjonuje te wspomnienia na głos, Elizabeth spojrzała na Jenny szeroko otwartymi oczami.

- To było naprawdę okropne - szepnęła.

- Wyobrażam sobie - odparła Jenny. - Niemniej te pieniądze, jakimi się wykupili, pozwoliły ci utrzymać Mitcha i siebie podczas wielu lat nauki i treningów.

- Tak - uśmiechnęła się Elizabeth z odrobiną cynizmu. - A więc powinnam podziękować Lyonowi nie tylko za syna, ale i za moją karierę.

Twarz jej rozjaśniła się niekłamany miłością uczuciem miłości.

- Dziękuję Bogu każdego dnia za dar, jakim stał się dla mnie Mitch, za skarb, który jego ojciec odrzucił.

- A więc dlaczego uważasz, że musisz znowu uciekać? Elizabeth zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc.

- Co masz na myśli?

- Lyon nie chce znać swego syna, tak?

- Tak. - Elizabeth nie mogła mówić o tym bez bolesnego skurczu serca.

- A więc? - Uśmiech Jenny nie miał w sobie nic miłego. - Gdyby Lyon przypadkiem natknął się na ciebie czy na Mitcha podczas waszego pobytu tutaj, prawdopodobnie to on miałby ochotę uciec z Cantrell.

Jeszcze raz duma dodała odwagi upadającemu duchowi Elizabeth.

- Rzeczywiście - powiedziała tonem olśnienia.
- Dlaczego mam uciekać i zepsuć sobie wakacje? Masz absolutną rację. Jeśli Lyonowi nie spodoba się to, co zobaczy, będzie to tylko jego własnym zmartwieniem. Niech ucieka.

Jenny wydała zwycięski okrzyk.

- A więc zostajesz?

Elizabeth uniosła głowę i kieliszek do góry.

- Tak, niech się dzieje co chce, niech wyjeżdża kto chce, ja zostaję.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lyon krążył po olbrzymich pokojach swego wielkiego domu jak drapieżne zwierzę, do którego zwykli porównywać go okoliczni mieszkańcy. Od dwudziestu paru godzin, jakie upłynęły od chwili, gdy zobaczył Elizabeth i jej syna, prawie nie spał, a jadł jeszcze mniej. Spotkanie Elizabeth, piękniejszej niż kiedykolwiek, było wystarczającym wstrząsem. Jeśli dodać do tego szok, jakim był widok chłopca...

Lyon zaklął pod nosem. To było jego dziecko, z krwi i kości. Był o tym najgłębiej przekonany, a ta pewność piekła go żywym ogniem. Wiek też się zgadzał; chłopiec wyglądał na dziewięć lat, myślał Lyon, gotując się wewnątrz. Dlaczego nic o tym nie wiedział? Dlaczego Elizabeth zniknęła bez śladu, nie powiadamiając go, że jest w ciąży? Niech ją diabli porwą!

Wściekłość kipiała w nim bez przerwy, nie pozwalając mu ani odpocząć, ani oderwać się od dręczących myśli i szarpiących nerwy spekulacji. Wewnętrzny niepokój pchał go do bezustannego maszerowania wzdłuż szerokich korytarzy pierwszego piętra, wchodzenia i schodzenia po schodach, i do wielokrotnego przemierzania wyłożonego pięknym parkietem foyer.

Jak szalony wpadał kolejno do różnych pokoi, nie widząc ich eleganckiego wystroju, nie czując niczego poza furją, przeklinając i potępiając w myśli kobietę, której nigdy nie przestał pożądać.

- Ja ją chyba uduszę!

Ta myśl sprowadziła wreszcie na jego twarz ponury uśmiech zadowolenia. Świerzbiły go palce, aby je zacisnąć na tym delikatnym gardle. Rozkurczył je i wyszedł przez drzwi, oszklone drobnymi szybkami, na patio, a potem do angielskiego różanego ogrodu na tyłach domu.

- Nie.

Nie zdając sobie sprawy, że mówi głośno sam do siebie, ani nie czując odurzającego zapachu rozkwitłych róż, Lyon zatrzymał się gwałtownie na ścieżce.

Uduszenie to zbyt lekka i zbyt szybka śmierć, myślał. To zbyt łagodna kara za jej oszustwo i zdradę.

- Podła dziwka!

Płonąc chęcią zemsty, nieczuły na spokój i pogodną atmosferę otoczenia, Lyon przebiegał krzyżujące się ścieżki, wyliczając wszystkie grzechy i przewinienia, jakich dopuściła się wobec niego kobieta, którą kochał ponad wszystko.

Elizabeth przysięgła mu wieczną miłość.

Skrzywił się z pogardą.

Obiecała czekać na niego całą wieczność, jeśli by było trzeba, aż on ukończy misję zleconą mu przez ojcu.

Wykrzywił wargi z wściekłością, odsłaniając mocne białe zęby.

Elizabeth odmówiła mu prawa do własnego syna na

długie dziewięć lat! Obdarzył ją absolutnym zaufaniem, a ona go zawiodła. Co więcej, pokochał ją bez pamięci, a ona nie tylko wzgardziła tą miłością, ale jeszcze uciekła, prawdopodobnie aby próbować swych wdzięków na innym lub innych łatwowiernych głupcach. Ale przestępstwem absolutnie niewybaczalnym było pozbawienie go w ten sposób syna. Drogo zapłaci za tę zdradę, bardzo drogo!

Powziąwszy decyzję, Lyon zatrzymał się.

Przypomniał sobie starą zasadę: niech kara odpowiada zbrodni.

Spokój spłynął na jego zmysły. Oczy zwięziły się pod wpływem koncentracji myśli. Nie czuł ciepłego powiewu wiatru na twarzy ani żaru promieni słonecznych. Ogarniał go coraz większy chłód, a zimne macki przeniknęły do głębi jego istoty, gasząc płomień gniewu, okrywając serce, duszę i umysł lodową skorupą.

Jak jej odpłacić?

Zjeżył groźnie brwi, rozmyślając nad rozpoczęciem akcji, i powędrował z powrotem do domu. Musi potraktować ją surowo, ale nie może to być kara fizyczna. Impuls, aby ją udusić, był zbyt prymitywny. O, nie! Tortura psychiczna będzie o wiele słodsza formą odwetu.

Kilka pomysłów chodziło mu po głowie, ale odrzucił je jako zbyt skomplikowane. Potrzebował czegoś prostego, lecz miazdzącego.

Co to mogło być?

Mars na czole Lyona pogłębił się, a potem nagle zniknął, gdy Cantrell doszedł do oczywistego wniosku.

Nie miał wystarczająco dużo informacji. Sprawa była odległa, a Lyon nie wiedział, co się działo z Elizabeth w czasie tych dziesięciu lat.

Idiota, skarcił się w myśli za to, że pozwolił emocjom wziąć górę nad intelektem. Przyspieszył kroku, wszedł do domu i skierował się wprost do telefonu, stojącego na biurku w ciemnej, wypełnionej książkami bibliotece.

Każdy rozsądny przedsiębiorca zamierzający stanąć do rywalizacji z przeciwnikiem wie, że szaleństwem byłoby zaniechanie zdobycia o nim wszelkich informacji.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer agencji, którą zatrudniał wielokrotnie od czasu, gdy szukał, choć bez skutku, miejsca pobytu Elizabeth Ware i jej rodziny. Lyon nie potępiał ich za ten brak sukcesu; państwo Ware rzeczywiście umieli zniknąć, nie zostawiając za sobą żadnych śladów. Teraz sytuacja przedstawiała się inaczej. Lyon wiedział, gdzie Elizabeth przebywa, i zakładał, że pozostanie jakiś czas w tym domu, należącym do jej brata, Chucka.

Prócz miejsca jej pobytu Lyon odkrył coś jeszcze. Przypomniał sobie pewien szczegół, który zauważył, przypatrując się jej z daleka poprzedniego dnia. Może okazać się cenną wskazówką.

Z ponurym, brzydkim uśmiechem Lyon przywołał w pamięci obraz Elizabeth w bluzce, którą miała na sobie. Na przodzie bluzki widniał napis: Linie Lotnicze Mid Continental.

Mógł to być po prostu chwilowy kaprys mody. Z drugiej strony napis ten mógł stać się kluczem do

odkrycia miejsca pobytu i działalności Elizabeth w ciągu minionych lat.

Lyon zatrzymał swój lśniący, sportowy samochód na poboczu drogi, tuż obok skrzynki pocztowej z napisem „Ware”, blisko podjazdu prowadzącego do drewnianego domu o wielkich oknach.

Spoza budynku dolatywały do niego cienkie, ożywione głosy. Lyon utkwiał wzrok w miejscu, skąd dochodziły i zdawały się przybliżać. Chwilę później ukazali się czterej chłopcy goniący szybko toczącą się futbolową piłkę.

Na widok jednego z nich, smukłego chłopca, który biegł na czele grupy, serce Lyona zabiło gwałtownie. Był to ten sam chłopiec, którego widział śpieszącego do Elizabeth trzy długie tygodnie temu, przed zakładem fryzjerskim.

Biało-czarna piłka toczyła się wprost pod koła jego wozu. Z wyschniętym gardłem, napięty z emocji i podniecony sytuacją Lyon wyskoczył z samochodu. Wysunąwszy nogę do przodu zatrzymał piłkę, nie pozwalając jej tym samym stoczyć się pod samochodem w dół stromego zbocza.

- O, dziękujemy panu! - wykrzyknął chłopiec, hamując z wielkim trudem tuż przed nim.

- Nie ma za co - odparł uprzejmie Lyon, przyglądając mu się intensywnie. - Wygląda na to, że ostro gracie.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

Lyon poczuł, że ogarnia go wielkie, mocne uczucie ojcowskiej miłości.

- Lunch jest gotowy.

Elizabeth skończyła układać stos kanapek i rozejrzała się wokoło ze zmarszczonym czołem.

- Ale gdzie się podziała ta hałaśliwa gromada barbarzyńców?

Jenny przerwała na moment mieszanie roztopionej czekolady z mlekiem i rzuciła jej żartobliwe spojrzenie.

- Dzielni wojownicy niezwykłego szczepu udali się na tereny leżące przed domem w pościgu za zbiegłą futbolową piłką - powiedziała.

Popatrzyła z uznaniem na górę kanapek.

- Czy zamierzasz nakarmić czterech małych chłopców, czy też całą dywizję wojska?

Elizabeth roześmiała się.

- Właśnie zastanawiałam się, czy zrobiłam dostatecznie dużo.

Skierowała się w stronę przejścia łączącego kuchnię z jadalnią i prowadzącego do frontowych drzwi domu.

- Dokończ ucierać krem, a ja ich zawołam, żeby się przyszli umyć przed jedzeniem.

- Porozkładałam papierowe talerzyki na stole! - zawołała za nią Jenny.

Elizabeth uśmiechnęła się. Miała doskonały humor, czuła się zrelaksowana i wypoczęta po trzech tygodniach urlopu, w miłym towarzystwie zawsze pogodnej Jenny, nie widując Lyona Cantrella i nie słysząc o nim.

Gdy zbliżyła się do frontowych drzwi, lekka zmarszczka pojawiła się między jej delikatnie zarysowanymi

brwiami. Było za cicho. Czyżby chłopcy pogalopowali z powrotem na tyły domu?

Powinna była wyrzeć przez okno; oszczędziłaby sobie widoku, od którego zamarło jej serce. Gdy otworzyła szeroko drzwi, doznała niesamowitego wrażenia, że krew zamarza jej w żyłach i zmienia się w ciało stałe.

Lyon Cantrell stał obok luksusowego, sportowego samochodu, patrząc z uśmiechem prosto w uniesioną ku niemu twarz jej syna - swego syna.

- Dobry Boże, tylko nie to!

Natychmiastowy protest wyrwał się jej ze ściśniętego gardła.

- Mitch! Przyjdź tu natychmiast! - zawołała nieswoim, zmienionym przez panikę głosem.

- Słucham? - Mitchell odwrócił się w stronę matki z wyrazem zaskoczenia na twarzy. - Ale ten pan tylko pytał...

- Wiesz, że ci nie pozwalam rozmawiać z obcymi - odparła Elizabeth, przerywając dalsze wyjaśnienia.

- Lunch jest gotowy - mówiła dalej, obrzucając wzrokiem trzech pozostałych chłopców i kierując się ku nim i... Lyonowi.

- Ależ, mamoo... - zżymał się Mitch, patrząc to na nią, to na mężczyznę, z którym rozmawiał. - On tylko pytał...

Tym razem przerwał mu Lyon, mówiąc coś tak cicho, że Elizabeth nie mogła dosłyszeć słów.

- Dobrze - odparł Mitch, wzruszając szczupłymi ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Kto tam rozumie dorosłych?” I ruszył biegiem za kuzynami, którzy byli w połowie drogi do domu.

Elizabeth wyciągnęła rękę i pogłaskała go po krótko obciętych blond włosach, gdy ją mijał, ale nie przestała iść dalej, patrząc pałającym wzrokiem na mężczyznę, który stał, czekając, aż podejdzie bliżej.

- Witaj, Elizabeth.

- Masz się trzymać od niego z daleka - zażądała Elizabeth, ignorując miękki ton głosu, jakim się do niej zwrócił.

- Nie powstrzymasz mnie od tego.

Chłód owiał ciało Elizabeth, niweczając ciepło promieni słonecznych.

Lyon nie podniósł głosu, nawet nie zmienił tonu, jednak dał jej odczuć siłę zdecydowania, jaka kryła się za tą spokojną odpowiedzią.

- Nie życzę sobie widzieć cię w pobliżu mego syna.

- Elizabeth prawie zachłystywała się słowami.

- Twojego syna? - Lyon uniósł złotawe brwi do góry. - Całkiem sama go spłodziłaś?

- Tak - syknęła, wstrząsnąwszy się na wspomnienie długotrwałych bólów, jakie towarzyszyły porodowi. Nie było przy niej ojca dziecka, który dodawałby jej otuchy.

- Tak, urodziłam go sama. - I walcząc o zachowanie spokoju, obrzuciła jego aż nadto atrakcyjną postać wrogim spojrzeniem. - Mówię serio. Nie zbliżaj się do niego.

Odwróciła się, aby odejść.

Nie.

Stalowy ton, który nagle zabrzmiał w głosie Lyona, zatrzymał ją w pół kroku. Przewyciężając chęć ucieczki i ukrycia się, Elizabeth wzięła głęboki oddech i obróciwszy się, stanęła z nim twarzą w twarz.

Lyon uśmiechnął się, a ją zimno przeniknęło do szpiku kości.

- Chcę go mieć.

- Nie! - nie potrafiła wydobyć z siebie normalnego głosu, lecz chrypiała. - Nie!

Usta Lyona zacisnęły się w cienką linię. Uśmiech znikł z twarzy, zmieniając się w grymas.

- To mój syn - wyrzekł niskim, groźnym głosem.

- Chcę go mieć przy sobie.

- A ja mówię: nie!

Elizabeth wyprostowała się wyzywająco, uniosła głowę do góry, udając odwagę, której nie miała. Modliła się, aby nie przejrzał jej gry, nie odkrył za tą kamienną fasadą paraliżującego strachu, jakim ją napełniał.

- Jest mój. Tylko mój - powiedziała. - Nie wolno ci się z nim widywać ani z nim rozmawiać. Zabraniam ci tego z całą stanowczością.

- Zabraniasz? - powtórzył jak echo Lyon z grymasem, który był tylko parodią uśmiechu. - A jak sobie wyobrażasz, że mogłabyś tego dokonać?

- Nie masz do niego żadnych praw - powiedziała Elizabeth głosem pełnym rozpacz. - Nie masz dowodu ojcostwa. Zabronię ci tego nakazem sądu - zagroziła, chwytając się tego argumentu, jak tonący brzytwy.

Na twarzy Lyona odmalowała się satysfakcja dra pieżnika.

- Nakaz sądu? - mruknął, potrząsając głową.

- Obawiam się, że na to już jest za późno. Ja już rozpocząłem kroki sądowe.

- Co to ma znaczyć? Jakie kroki? Co ty zrobiłeś?
- Poddałem się koniecznym badaniom krwi - odparł bez ogródek. - A także poleciłem memu adwokatowi, aby wystąpił do sądu o przyznanie mi opieki, wyłącznej opieki nad moim synem.
- Wyłącznej... - głos Elizabeth odmówił posłuszeństwa. Nie zdając sobie sprawy, co robi, zaczęła kręcić głową i cofać się, odsuwając się od Lyona.
- Nie licz na to, Elizabeth. - Choć powiedział to cicho, jego głos smagał ją jak biczem.
- Nie liczyć na co?
- Że uciekniesz. Nie tym razem - szydził. - Wiem wszystko o tobie: gdzie mieszkasz, gdzie pracujesz. Wiem nawet dokładnie, ile razy byłaś z tym pilotem, który się ostatnio rozwiódł.

Jesse. Ten beztroski, pogodny kolega z pracy, z którym czasem spędzała wieczory. Nie „była z nim”, jak próbował zasugerować jej Lyon. Po prostu chodzili do kina, rozmawiali, jedli czasami zaimprovizowaną kolację. To było wszystko. Jesse miał opinię kobieciarza, żonaty czy nieżonaty. Elizabeth była zbyt mądra, aby go traktować serio. Był sympatycznym towarzyszem, łatwy w rozmowie, zabawny. Idealna eskorta dla kobiety takiej, jak Elizabeth, która nie chciała się wiązać na stałe ani z nim, ani z żadnym innym mężczyzną. Wystarczyła jej jedna lekcja męskiej perfidii. Wpatrując się w twarz swego pierwszego nauczyciela, na której malował się wyraz nieustępliwego uporu, Elizabeth walczyła w milczeniu z mdłościami, które wywołała w niej panika. W tej chwili nie mogłaby

zdobyć się na żadną odpowiedź, nawet gdyby cała jej egzystencja od tego zależała.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - drwił Lyon cichym, lecz zgrzytliwym głosem, który szarpał jej nerwy. - Żadnej obrony dla swego uroczego, choć rozwiążącego adoratora?

Dotknięta jego sarkazmem i zarozumiałością, Elizabeth drgnęła i odparowała bez zastanowienia:

- Jesse nie potrzebuje mojej obrony w żadnych sprawach, nie wyłączając swego życia erotycznego.

Lyon obrzucił ją zimnym, złośliwym spojrzeniem.

- Bardzo ciekawe - powiedział. - Sądzę, że na przesłuchaniu w sprawie ustalenia opieki nad dzieckiem sędzia może mieć inne zdanie.

- To, z kim Jesse sypia, nie ma nic wspólnego ze mną czy też rzekomym przesłuchaniem w sądzie - zaprotestowała gwałtownie.

- Pozwolisz, że się nie zgodzę - odparł Lyon pogardliwie. - Znam daty waszych spotkań i wiem, ile czasu Jesse spędzał w twoim mieszkaniu, późną nocą, gdy mój syn, niczego nieświadom, spał w swoim łóżku.

Elizabeth doznała przerażającego uczucia, że wpadła w pułapkę, która się wokół niej zamyka. Panika paraliżowała jej oddech. A przecież naprawdę nic się nie kryło za wizytami Jesse'a u niej w domu. Kawa, jakiś poczęstunek, rozmowa. Nic poza tym! Chciała wykrzyknąć mu to prosto w twarz, ale słowa utknęły w potoku gorzkości, która zalała jej gardło. Niezdolna wykrztusić żadnego dźwięku, kręciła głową w niemym proteście przeciw oskarżeniom, jakimi obrzucał ją Lyon. Myśli jej się plątały, dzikie, spłoszone. To nie do

uwierzenia, żeby po tylu latach Lyon tak nagle zdecydował się ją odnaleźć i dręczyć. To niegodziwe. Czy nie ma sprawiedliwości na świecie?

Wreszcie udało się jej opanować skurcz gardła.

- Dlaczego to robisz? - wyjąkała z wysiłkiem.
- Dlaczego mnie prześladujesz?

- Ponieważ chcę odzyskać swojego syna. - Lyon mówił głosem cichym, ale przepojonym nienawiścią.
-I mam zamiar dopiąć tego. - Zaśmiał się szyderczo.
-A ty uważasz tę małą pogawędkę za prześladowanie? Przygotuj się na wstrząs, Elizabeth: ja jeszcze nie zacząłem cię prześladować. Ale będę to robił. Możesz na mnie liczyć.

- Lyon, nie możesz tego zrobić. - Elizabeth poczuła się upokorzona, słysząc błagalny ton swego głosu. Ale uwierzyła w jego pogroźki.

Zaśmiał się pogardliwie:

- Mogę to zrobić i zrobię.
- Beth? - rozległ się za nią głos Jenny. - Czy wszystko w porządku?

Elizabeth była bliska hysterii. Wszystko w porządku? Nie, nic nie jest w porządku. Bała się tak, że niemal traciła przytomność.

- Ja... tak... - jąkała się, zwracając zaleknione spojrzenie ku Jenny, nadchodzącej z zachmurzoną twarzą. - Nic mi nie jest - skłamała, aby ją powstrzymać i uniknąć konfrontacji między nią a Lyonem.

Nic to jednak nie dało. Jenny szła naprzód zdecydowanym krokiem, z miną nie wróżącą niczego dobrego.

Czego pan tu szuka? - zapytała groźnym tonem, zatrzymawszy się tuż przed intruzem.

Lyon najwyraźniej nie przejął się jej wojowniczą postawą i spojrzał na nią obojętnie.

- Szukam tego, co jest moje - odparł bez ogródek - mojego syna.

Jenny syknęła, wciągając powietrze.

- Czyżby? - uniosła brwi z wyniosłą miną, której Elizabeth nigdy nie potrafiła naśladować. - Życzę szczęścia.

- Ze szczęściem nie ma to nic wspólnego - kpił Lyon, nie speszony jej tonem.

Oczy Jenny zabłyśły gniewem.

- Stąpa pan po niepewnym gruncie, panie Cantrell. Może pan posiada tamtą górę, większość terenów w okolicy, ale to jest moja prywatna własność.

- Jen... - zaczęła Elizabeth, próbując powstrzymać bratową i rozładować trochę napięcie, jednak Jenny zignorowała ją. Czując się pewnie na własnym terytorium i w poczuciu słuszności, była gotowa do walki w obronie rodziny.

- Wszedłeś na prywatny teren bez zgody właściciela, Cantrell - z rozmysłem ominęła słowo „pan” i mówiła tonem pogardliwym, aby go dotknąć. - Radzę ci, żebyś zabrał swój śliczny samochodzik i wyniósł się z mojej posiadłości.

- Taka postawa nie pomoże Elizabeth - zauważył Lyon.

- Jen, proszę cię - Elizabeth jeszcze raz próbowała uspokoić przyjaciółkę. - Dam sobie radę.

- Nie! - machnęła ręką Jenny. - Robię to, co zrobiłby Chuck, gdyby tu był. - Spojrzała twardo na Lyona. - Wyniesiesz się, czy mam wezwać polię?

Masz dokładnie dziesięć sekund na podjęcie decyzji - dodała, patrząc na zegarek.

- Jak pani sobie życzy. - Lyon nie wydawał się być obrażony lub zastraszone. Przeciwnie, raczej rozba-
wiony tą sytuacją. - Pani jest tu właścicielką. - Wzru-
szył ramionami i podszedł do samochodu. Gdy ot-
worzył drzwi i miał już do niego wsiadać, odwrócił się
do Elizabeth i powiedział:

- Będę czekał na ciebie w domu dziś o ósmej
wieczorem. Radzę ci przyjść.

- Cóż to. znowu! Chwileczkę! - zaprotestowała Jenny.

- W twoim... domu?! - zapytała Elizabeth z niedo-
wierzeniem.

Lyon skinął głową i zajął miejsce za kierownicą.

- Tak, w moim domu. O ósmej.

- Nie! - powiedziała ostro Jenny.

- Ale dlaczego? - wykrzyknęła Elizabeth, prze-
krzykując trzask zamykanych drzwiczek.

- Ponieważ ja tak powiedziałem. - Włączył silnik
i znów zmierzył ją mściwym spojrzeniem. - Jeśli nie
chcesz stracić swego prawa do okazjonalnego widywa-
nia Mitchella, to przyjdiesz.

Po zadaniu tego pożegnalnego ciosu odjechał, zo-
stawiając obie kobiety w tumanach kurzu.

- Co on, do diabła, plecie o jakichś prawach do
okazjonalnych wizyt? - wykrzyknęła Jenny, broniąc
się rękami przed cuchnącymi spalinami i kurzem.

Powiedział, że zlecił swoim adwokatom wystąpić
do sądu o przyznanie mu prawa do wyłącznej opieki
nad Mitchem - odparła Elizabeth, jękając się ze
zdenerwowania.

- Co takiego? To niemożliwe! Przecież on nie ma do tego żadnych legalnych podstaw - stwierdziła Jenny, patrząc zatroskanym wzrokiem na Elizabeth.

- Nie sądzisz?

- Nie wiem. - Elizabeth zagryzła wargi. - Jen, on musiał przeprowadzić jakieś dochodzenie, śledzić mnie. Twierdzi, że wie o mnie wszystko. - Znowu przełknęła ślinę. - Ja...

- Nie masz chyba zamiaru pójść do jego domu? - zapytała Jen domyślając się, co oznacza niepewny wyraz twarzy Elizabeth. - Nie wolno ci!

- Muszę! - jęknęła Elizabeth.

- Chuck dostanie szału!

- Wiem, ale co ja mogę na to poradzić?

- Zadzwoń do swojego adwokata.

- Ja nie mam adwokata.

- Więc zadzwoń do adwokata Chucka! - krzyknęła Jenny. - Jestem pewna, że Lyon blefuje.

- Możliwe. Ale co będzie, jeśli nie? Muszę z nim porozmawiać na pewno.

Jenny potrząsnęła głową, patrząc w kierunku, w którym odjechał Lyon.

- Nie ufaj mu, Elizabeth. Ten facet to groźna bestia.

- Wiem.

Słyszając potwierdzenie swych własnych obaw, Elizabeth zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

Jenny spojrzała na nią wojowniczo.

- Będziesz skończoną wariatką, jeśli zdecydujesz się wejść do tej jego twierdzy.

- Wiem, wiem! - krzyknęła Elizabeth, czując się osaczona z dwóch stron.

- Więc nie idź tam!

- Muszę. - W głosie Elizabeth brzmiała prawdziwa rozpacz. - Jen, proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć. Muszę wiedzieć, co on planuje. Czy tego nie pojmujesz? Dopóki się tego nie dowiem, nie będę wiedziała, jak się bronić.

- Może masz rację - westchnęła Jenny, ale upierała się przy swoim zdaniu. - Sądzę jednak, że popełniasz błąd, idąc do niego.

- Ja też tak myślę - przyznała Elizabeth, odwracając się i idąc w kierunku domu. - Ale nie widzę innego wyjścia i muszę to zrobić dla dobra Mitcha.

Jen zaprzestała dyskusji. Chwilowo. Jednak w ciągu popołudnia, gdy tylko znalazły się z dala od chłopców, wysuwała coraz to nowe argumenty przeciwko spotkaniu Elizabeth sam na sam z Lyonem Cantrellem. Elizabeth mimo to nie zmieniła decyzji, choć ją samą ogarniały wątpliwości, czy dobrze robi. Przerazała ją wprawdzie perspektywa walki z Lyonem na jego własnym terytorium, ale jeszcze bardziej bała się mu sprzeciwić.

- Jeśli jesteś zdecydowana tam pójść, pozwól mi chociaż iść z tobą - prosiła Jenny, widząc, że szwagierka zaczęła przygotowywać się do wyjścia.

Elizabeth uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- I zostawisz chłopców samych w domu? - spytała.

- Mogę zadzwonić do któregoś z sąsiadów - mówiła Jenny, szczerze zatroskana. - Beth, ja mu nie ufam. - Wzdrygnęła się. - A nawet piekielnie się go boję.

- Ja też - przyznała Elizabeth. - Ale - dodała, prostując się dumnie - prędzej umrę, niż dopuszczę, żeby się tego domyślił.

Elizabeth nie przyznała się nawet sama przed sobą, że Lyon przerażał ją z dwóch powodów. Z jednej strony bała się jego gróźb, że odbierze jej syna. Z drugiej - obawiała się, żeby nie zdradzić się z podświadomym pragnieniem, że marzy o ponownym spotkaniu z Lyonem-mężczyzną.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Musiała chyba stracić rozum!

Elizabeth siedziała bez ruchu w samochodzie, pełna lęku, nasłuchując dźwięków dochodzących z zewnątrz i po raz któryś rozmyślając nad zagadkami i złośliwością losu... Jej losu.

Tylko tydzień pozostał do końca wakacji. Zaledwie jeden tydzień. Westchnęła. Prawie jej się udało. Ale „prawie” się nie liczy. I dlatego siedziała tu teraz, z bólem żołądka, lękając się czekającej ją konfrontacji. Walczyła z chęcią zawrócenia samochodu, pognania do domu brata, aby zabrać syna i uciekać gdzie pieprz rośnie, jakby jej życie było zagrożone.

Czy naprawdę straciła rozum, że zastosowała się do tego bezprawnego rozkazu Lyonsa? Ta myśl dręczyła ją przez cały czas, gdy jechała krętą drogą na szczyt góry (Cantrella. Sama góra nie była groźniejsza ani wspanialsza od innych. Nie było tu pionowych przepaści ani pokrytych śniegiem ostrych wierzchołków. Porastały ją drzewa na prawie całej wysokości i kończyła się zaokrąglonym gładkim garbem.

Twierdza Cantrellów położona była między drzewami na zboczu pod szczytem, na końcu krętej drogi. Lecz w przeciwieństwie do góry, potężna budowla robiła duże wrażenie i napawała strachem. Gigan-

tyczne spiętrzenie szarych kamieni, które tworzyło domostwo Lyonsa, peszyło samym ogromem i klasycznymi liniami. Robiło wrażenie starożytnego zamczyska. Elizabeth miała wrażenie, że lada chwila usłyszy stukot końskich kopyt na bruku i ujrzy rumaka niosącego rycerza w pełnej zbroi. Jeśli byłby to właściciel zamku, koń powinien być czarny jak noc, myślała.

Sir Lyon Cantrell - pogromca!

Ten obraz spowodował, że dostała gęziej skórki na całym ciele. W oddali rozległ się grzmot ostrzegający o zbliżającej się burzy, jednej z wielu, jakie nawiedziły okolicę tego lata.

Czy może Sir Lyon poluje na wzgórzach? Karcąc się w duchu za wybryki wyobraźni i mobilizując do tego, co ją czekało, Elizabeth zebrała się na odwagę i wysiadła z samochodu. Zegarek wskazywał siódmą pięćdziesiąt osiem, a ona postanowiła stawić się na spotkanie w domu Lyonsa z wybiciem ósmej.

Oczywiście, przy drzwiach nie było tradycyjnego dzwonka; byłoby to zbyt prozaiczne i pospolite dla tak zamożnej i wyjątkowej rodziny jak Cantrellowie. Na środku mocnych, dębowych drzwi umieszczono ciężką mosiężną kołatkę w kształcie głowy jelenia.

Jakie to oczywiste, pomyślała złośliwie Elizabeth, próbując choć w ten sposób podnieść się na duchu. Gdy wskazówki zegarka doszły do ósmej, uniosła kołatkę i zastukała trzy razy.

Nie wiedziała, czego ma się spodziewać w odpowiedzi, ale raczej oczekiwała jakiejś nieśmiałej pokojówki w białym fartuszkach i czarnej sukience lub poważnej gospodyni z pękiem kluczy na łańcuchu albo

też sztywnego lokaja, ubranego na ciemno, o wyniosłym spojrzeniu.

Zamiast tych powieściowych postaci ujrzała w drzwiach samego pana domu, ubranego wprawdzie na czarno, ale nie w zbroi, lecz w obcisłych dżinsach i lekkiej jedwabnej koszuli z długimi rękawami. Miał białe stopy, co powinno wyglądać dziwacznie, a jednak wydawało się naturalne i szalenie seksowne.

Nie jest to może zwykła zbroja, myślała Elizabeth, ale jednak strój włożony z myślą o pewnym, dość subtelnym ataku. Mężczyzna we współczesnej kolczudze, zaprojektowanej w celu złamania oporu kobiety. Jednym słowem Lyon wyglądał - zabójczo! Elizabeth poczuła się pokonana magnetycznym urokiem, jaki z niego emanował.

Spędziła sporo czasu przed lustrem, szykując się na to spotkanie. Zrezygnowała ze swego codziennego letniego stroju, składającego się z szortów i pulowerka, na rzecz szerokiej, kwiecistej spódnicy z cieniutkiej bawełny i dopasowanej bluzeczki z dużym dekoltem, bez rękawów. Nałożyła lekki, niewidoczny podkład na twarz, trochę różu na policzki i usta oraz zrobiła cienie na powiekach. Wszystko to z myślą o poprawieniu sobie samopoczucia.

I wszystko na nic, stwierdziła Elizabeth, powstrzymując westchnienie rozczarowania i patrząc z obawą na swego pogromcę. Wszystkie jej starania i dobór stroju zbladły wobec zwycięskiej atrakcyjności i uroku Lyona. Miała wielką ochotę wybąkać jakąś wymówkę, obrócić się na pięcie i uciec jak najszybciej do względnie bezpiecznego domu swego brata.

Ale było za późno. Pan domu przygwoździł ją spojrzeniem do progu.

- Cenię bardzo punktualność u kobiet - powiedział, otwierając szeroko drzwi. Cofnął się o krok i zaprosił ją do wnętrza niedbałym machnięciem ręki. Ta typowo męska uwaga, wygłoszona zamiast powitania, zgasiła w sercu Elizabeth ostatnią iskierkę nadziei na porozumienie się z nim w sposób bezkonfliktowy.

Powstrzymała się od ostrej i obraźliwej riposty i uśmiechnęła się kpiąco.

- Tylko u kobiet? Ja uważam to za zaletę u każdego, niezależnie od płci - powiedziała.

- Punkt dla ciebie - zgodził się Lyon, wzruszając lekko ramionami. Przy tym ruchu jego cienka koszula zafalowała kusząco na ciełe.

Ratunku, jęknęła Elizabeth w bezgłośnym błaganiu i nie udając, że interesuje ją gustowny wystrój wielkiego holu, ukradkiem przeniosła spojrzenie z opiętego w jedwab torsu na oczy Lyona i natychmiast tego pożałowała.

- Czy taki jest właśnie cel tego spotkania? - zapytała, starając się ukryć swoje niepokoje pod przykrywką sarkazmu. - Czy zaprosiłeś mnie tutaj, a raczej rozkazałeś przyjść, aby stoczyć walkę na punkty?

Uśmiech Lyona był obliczony na przerażenie najodważniejszych. Ale Elizabeth nie zaliczała się wcale do odważnych. Trzęsała się wewnątrz ze strachu i w poczuciu nadchodzącej klęski.

- Nie potrzebuję walczyć z tobą na punkty. Jestem w posiadaniu wszystkich kart atutowych. Zapomniałaś już o tym, Elizabeth?

- O czym? - spytała, starając się opanować.
- Wszystko, co słyszałam, to tylko pogrożki. Nie widziałam żadnych kart atutowych, które mogłyby poprzeć twoje żądania. - Udało się jej powiedzieć to butnie, z wyzywającym uśmiechem. - Myślę, że pan blefuje, panie Cantrell!

- Tak pani sądzi, panno Ware? - Twarz Lyona przybrała wyraz zdecydowania. - Proszę za mną - rzekł, ruszając przez wysoki, przestronny hol.
- Z przyjemnością pokażę pani karty atutowe.

Do tej pory Elizabeth miała tylko niejasne wrażenie, że wnętrze domu jest klimatyzowane. Teraz, idąc za gospodarzem do drzwi w odległym końcu holu, czuła, że chłód przenika jej ciało do szpiku kości.

Pokój, do którego Lyon ją wprowadził, był obszerny, słabo oświetlony i jeszcze chłodniejszy niż hol. Zbyt przejęta, by zwracać uwagę na szczegóły, Elizabeth mimochodem zauważyła lśniący połysk drewna na stolikach i biurku, stojącym pod oknem, gruby aksamitny dywan na podłodze oraz sporą liczbę krytych skórą foteli. Naprzeciwko kominka stała duża sofa. Jakby na przekór chłodnemu powietrzu, napływającemu z rur klimatyzacyjnych, na kominku palił się wesoły ogień, który nie był jednak w stanie ogrzać tak dużego wnętrza.

- Karta atutowa numer jeden. - Ostry jak brzytwa głos Lyona odwrócił uwagę Elizabeth od wystroju pomieszczenia. Spojrzała na jego chmurną twarz. W rękę trzymał plik kartek, ale nie zamierzał ich jej podać, tylko pokazywał z daleka jak prokurator prezentujący w sądzie dowód winy.

- To są raporty firmy detektywistycznej, dotyczące ciebie i twojej rodziny - zaczął mówić, gdy stwierdził, że dziewczyna obserwuje go z uwagą. - Są kompletne, od pierwszego dnia, gdy spakowaliście manatki i ukryliście się gdzieś jak złodzieje.

- Złodzieje?! Złodzieje?! Jak śmiesz! - wykrzyknęła wzburzona obelgą Elizabeth.

- A kto? - przerwał jej Lyon. - Wszyscy zniknęliście bez śladu, właśnie jak przestępcy, bez słowa do kogokolwiek, znajomych, sąsiadów, a przede wszystkim - do mnie.

- To nieprawda - zaczęła Elizabeth.

- Uciekłaś, nosząc w łonie moje dziecko. - Lyon znów zlekceważył jej protest i ciągnął tonem pełnym potępienia. - A potem powiększałaś swą winę, odmawiając mi praw do mojego dziecka przez dziewięć lat i robiłabyś to nadal, prawdopodobnie bez końca, gdybym przypadkiem nie zobaczył cię z nim trzy tygodnie temu w mieście.

Elizabeth otworzyła usta, aby odeprzeć te zarzuty, ale Lyon nie dał jej szansy wypowiedzieć nawet słowa.

- Czy masz pojęcie, jak się czułem, gdy go ujrzałem? - zapytał, zdradzając swój rosnący gniew nie tylko ochrypłym głosem, ale ściągniętymi rysami twarzy i dygotaniem całego ciała. - Wiedziałem od razu, że to mój syn. Mój syn! Niech cię diabli porwą, Elizabeth!

Elizabeth nagle doszła do wniosku, że już wie, skąd się wzięło nagłe zainteresowanie Lyona Mitchellem, którego nie zdradzał w poprzednich latach. Jenny powiedziała jej, że Lyon ożenił się kilka lat temu, lecz

małżeństwo pozostało bezdzietne. Teraz, zbliżając się do czterdziestki, Lyon zobaczył w chłopcu dokładną kopię samego siebie.

To wszystko - zaaranżowane spotkanie, jego stosunek do niej i postawa - było spowodowane nieuchronnym upływem czasu, obawą przed bezdzietnością, która, ze względu na wiek Lyona, stawała się czymś coraz bardziej realnym. Poczuła, że robi się jej niedobrze z odrazy. Lyon gotów był zniszczyć życie swego syna, jak i jej samej, aby tylko zapewnić sobie dziedzica i zadowolić swoje przekłete, aroganckie, zarozumiałe „ja”. Była taka wzburzona, że z trudem wymawiała słowa.

- Niech mnie diabli wezmą?! - wykrzyknęła wreszcie, zaciskając dłonie w pięści, aby ukryć, jak bardzo się trzęsły. - Co za tupet! To ty...

- Tak, niech cię diabli wezmą! - warknął raz jeszcze, przerywając jej bez pardonu. Porwał kopertę z biurka i z groźną miną postąpił w jej stronę. - As absolutny, złotko - szydził, potrząsając kopertą tak, aby jej nie mogła dosięgnąć.

- Co...? - Elizabeth przerwała, aby zwilżyć wargi, bo słowa nie przechodziły przez wyschnięte gardło. - Jaki as?

- Mam tu kopie wyników dwóch odrębnych badań krwi - patrzył na nią zimno i wymachiwał kartkami przed jej nosem. - Oto wynik badania zrobionego ostatnio - jest oczywiście mój. Mam też kopię tego, który wykonano tuż po urodzeniu Mitcha w małym szpitaliku na Florydzie.

Elizabeth doznała niemiłego uczucia, że podłoga

faluje pod jej stopami. Wciągnęła głęboko powietrze, walcząc z paniką, która chwilami niwelowała jej zdolności logicznego rozumowania. Lyon blefuje, mówiła sobie, usiłując dodać sobie odwagi. Blefuje na pewno, w każdym razie jeśli to nie dotyczy rutynowego badania krwi, lecz późniejszego, zrobionego Mitchowi na dzień przed wypisaniem ich obojga ze szpitala na żądanie lekarza. Na szczęście podejrzenia o żółtaczkę okazały się bezpodstawne i o ten właśnie wynik Elizabeth nie powinna się niepokoić. Jej matka, pracując w izbie przyjęć tego szpitala, osobiście wprowadziła wyniki Mitcha do tajnej pamięci szpitalnego komputera.

Podłoga przestała się pod nią kołysać i Elizabeth z rosnącą odwagą spojrzała Lyonowi prosto w oczy.

- Według mnie w dalszym ciągu po prostu blefujesz - rzekła.

Lyon uśmiechnął się złośliwie.

- Nie wierzysz nawet własnym oczom?

- Nic nie widziałam, jak dotąd - odparła. - Jeśli tam coś masz, to są z pewnością fałszerstwa - odpląciła mu się równie złośliwym uśmiechem. - Machasz mi przed oczami plikiem papierów i oczekujesz, że uwierzę, jakobyś miał kopie dokumentów, o których wiem, że są absolutnie niedostępne.

Lyon miał czelność roześmiać się jej prosto w twarz.

- Och, Elizabeth, jakaś ty naiwna - łąjała ją protekcyjnym tonem. - Czy nie wiesz o tym, że dostanie się do tak zwanej zakodowanej, tajnej pamięci komputera stanowi wielką frajdę dla różnych maniaków informatyki?

Oczywiście, że wiedziała. Do diabła! Elizabeth zgrzytała zębami ze zdenerwowania. Wiadomości o takich praktykach podawały często środki masowego przekazu, nie mogła więc o tym nie słyszeć. Ale nie chciała ustąpić Lyonowi i przyznać, że wygrał ów pojedynek i nie tylko ten.

Wzruszyła ramionami.

- A więc udało ci się zatrudnić jakiegoś komputerowego włamywacza. I co z tego? Określenie grupy krwi to jeszcze nie dowód ojcostwa.

- Przyznaję, że tak - odparł pobłażliwie. - Ale wystarczy, aby przekonać sędziego o konieczności przeprowadzenia dalszych, dokładniejszych badań, których wynik byłby niepodważalnym dowodem.

- I ty chciałbyś zmusić mojego syna, aby przeszedł przez taką koszmarną procedurę? - wykrzyknęła, głęboko wstrząśnięta tą możliwością.

- Nie, kochanie - Lyon wprost warczał. - To ty, jeśli zdecydujesz się na walkę ze mną, skażesz mojego syna na przejście przez te badania.

Kochanie! Furia rozpaliła się w niej na nowo, dodając sił, których zaczynało już jej brakować. Nie wiedziała, co ją bardziej zdenerwowało - czy użycie tego czułego słowa, czy groźba obciążenia jej winą za przykrości, które przeżyje jej syn, gdyby usiłowała go bronić.

Uzucie zniewagi pobudziło jej mózg do działania. Przypomniała sobie o jedynej, ale prawdopodobnie najważniejszej karcie atutowej, jaką posiadała.

- Nie jestem takim bezmózgim stworzeniem, za które mnie bierzesz - powiedziała, udając pewność

siebie, której wcale nie miała. - Jestem w pełni świadoma faktu, że sędzia bardzo rzadko decyduje się odebrać dziecko jego naturalnej matce.

- Tak, przeważnie tak bywa, ale to nie jest typowy przypadek.

- Chyba nie wierzysz naprawdę w to, że raport jakiegoś wywiadowcy, zawierający nie udokumentowane informacje na temat paru moich randek wystarczy, aby przekonać sędziego, jakiegokolwiek sędziego, o tym, że prowadzę rozwiązłe życie.

- Nie. Ale wierzę, że pieniądze mają ogromną moc - odparł Lyon ze spokojnym, protekcyjnym uśmiechem, pełnym poczucia wyższości. - A wielkie pieniądze mają wielką siłę perswazji.

Ta cięta riposta trafiła w sedno i zachwiała nadzieją Elizabeth na uzyskanie przewagi. Zdesperowana, broniła się jednak do końca.

- Zlecę mojemu adwokatowi, aby wystąpił z petycją do sądu o przyznanie prawa do opieki mnie, a nie tobie.

- Proszę bardzo - odrzekł z irytującym spokojem i pewnością siebie.

- Będę walczyć do końca. Złożę odwołanie do Sądu Najwyższego - nie ustępowała Elizabeth, patrząc na niego z pałającą twarzą.

- Przegrasz.

Uśmiech Lyona, jego postawa, wszystko w nim świadczyło o poczuciu absolutnej pewności siebie. Elizabeth uświadomiła sobie ze zgrozą, że Lyon ma wielkie szanse osiągnąć to, co zamierza, ze względu na olbrzymie środki, jakie zaangażuje w tej walce.

Przez moment poczuła się bezbronna, zrezygnowana i niezdolna stawić mu czoło. Jednak obawa przegranej na nowo wyzwoliła w niej gniew. Furia i strach wytworzyły morderczą kombinację. Przyparta do muru, ruszyła groźnie do ataku.

- Ty źmijo - zasyczała, odrzucając na bok wszelką przezorność i rozwagę - ty, ss...

- Ostrożnie, Elizabeth - uciął zimno Lyon - nie znoszę gróźb ani obelg. Wyzwiska nie pomogą ci wygrać sprawy, a i tak masz niewielkie szanse.

Jeżeli tak... Wbrew wszelkiej logice i instynktowi samozachowawczemu Elizabeth rzuciła się na niego z uniesioną ręką, gotowa zmasać z jego gniewnej twarzy ten sardoniczny uśmiezek.

Poruszając się z niebywałą szybkością, Lyon odrzucił na bok plik dokumentów, schwycił i trzymał przez chwilę ją za rękę w stalowym uścisku. Potem, opasawszy jej talię ramieniem, przyciągnął dziewczynę do siebie, rozgniatając jej piersi o swój twardy tors. Siła zderzenia prawie pozbawiła ją oddechu.

- Ty świnió! - wykrzyknęła.

- Nie oczekuj, że będę cię traktował jak dżentelmen, ty mała oszustko - syknął z ustami tuż przy jej uchu. - Raczej uważaj się za szczęśliwą, że opanowałem pierwszy impuls, aby cię udusić lub w inny sposób pozbawić życia.

- Ja!? Mnie nazywasz oszustką? - krzyknęła oburzona Elizabeth. Pałając pragnieniem zemsty, wyciągnęła rękę i rozorała paznokciami jego policzek.

- Ty wściekła kocico! - Rozjuszony do nieprzytomności, sypiąc iskry ze swoich szafirowych oczu, Lyon

puścił jej rękę i schwytał Elizabeth za włosy. Wczepiłszy palce w gęstwinę jedwabistych loków, odwrócił jej twarz ku sobie.

- Mógłbym cię za to zbić do nieprzytomności - oznajmił, - zgrzytając zębami. - Ale nie zrobię tego. Jako dżentelmen, nie mogę sobie pozwolić na wykorzystywanie przewagi fizycznej.

Rozluźnił palce i zaczął wyplątywać je z obfitej czekoladowej grzywy, a wtedy Elizabeth popełniła błąd, który okazał się fatalny w skutkach.

- Proszę bardzo - powiedziała pogardliwym tonem. - Zbij mnie do nieprzytomności. Dogodzisz swojej głupiej męskości, jeśli mnie stłuczesz i posiniaczysz. Tylko zobaczymy, czy wtedy sąd ci przyzna prawo do opieki nad moim dzieckiem.

Lyon znowu zacisnął palce i pociągnął ją za włosy tak, że poczuła ostry ból, który wycisnął jej łzy z oczu. Westchnęła głośno, rozchylając wargi.

- Jakaś ty naiwna, Elizabeth - powiedział szeptem, a głos mu drżał z emocji. - Czy naprawdę uważasz, że nie wiedziałbym, jak cię ukarać, nie robiąc ci sińców na ciele?

Krew zastygła w żyłach Elizabeth. Przeraził ją nie tyle lodowaty ton głosu czy sama pogróżka, co zmiana w wyrazie jego twarzy i oczu. Zniknęła gdzieś furia, a pojawiła się mgiełka pożądania. Odwróciła twarz, ale nie dość szybko. Lyon zawładnął jej ustami, rozgniatając jej miękkie wargi swoimi. Gdy zwolnił nacisk, odetchnęła głęboko, wciągając chłodne powietrze z westchnieniem ulgi. Za wcześniej.

Lyon nie skończył jeszcze jej karać. W istocie

dopiero zaczął to robić. Jednak gdy podjął atak na nowo, zmienił taktykę.

- Ile czasu minęło, Elizabeth, odkąd odeszłaś? - szepnął, pieszcząc jej obolałe usta lekkimi musnięciami swych warg. - Prawie zapomniałem, jak oszałamia smak twoich ust i jak podnieca mnie dotyk twego ciała.

W głowie Elizabeth zabrzmiał dzwonek alarmowy, ogarnęła ją panika. Lyon ponowił pocałunki, przesuwając językiem po wewnętrznej, gładkiej stronie jej dolnej wargi. Krótki, urywany szloch wydarł się jej z gardła. Elizabeth odniosła wrażenie, jakby coś odżyło w głębi jej istoty. Nie chciała przyjąć tego do wiadomości. To niemożliwe, krzyczało coś w niej i buntował się mózg, aby zaprzeczyć uczuciu, że cała się roztapia. Nie była już przecież niedoświadczoną i wrażliwą osiemnastolatką. Niemożliwe, aby znów jej się to zdarzyło. A jednak tak się działo.

Niezwykły sposób karania Elizabeth za pomocą warg i języka sprawiał, że historia mogła się powtórzyć.

Równie łatwo, jak powstrzymał jej ręce przed zadawaniem ciosów, Lyon cofnął czas i w ciągu kilku sekund Elizabeth znowu miała osiemnaście lat, była młoda, beztroska i zakochana. Była gotowa doświadczyć przejścia w świat dorosłej kobiecości, oddając się ciałem i duszą swemu namiętmemu Lyonowi.

Opór ulotnił się pod naciskiem jego głodnych warg. Głośny szloch wyrwał się z ust Elizabeth, gdy otoczywszy ramionami szyję Lyona, odpowiedziała z zapałem na zew namiętności.

Nie zastanawiając się nad niczym, nie stawiając oporu, przeżywając na nowo sen młodości, odpowiadała na jego pieszczoty. Objęta jego ramionami cofała się, gdy on szedł do przodu, nie dbając o to, dokąd ją prowadził. Poczuła, że ogarnia ją ciepło, i domyśliła się, że zbliżyli się do kominka. Nie było to ważne. Całą sobą śledziła zniewalającą grę jego warg i języka na swoich ustach oraz dotyk jego rąk na drżącym ciele.

- Zawsze byłaś tak cudownie miękka - szepnął Lyon, wędrując wargami po jej twarzy. - Masz skórę jak ciepły jedwab.

Wsunął dłonie pod cienki materiał bluzki i unosząc jej ręce ponad głowę, zsunął ją z niej i odrzucił. Po chwili za bluzką upadł na podłogę przezroczysty staniczek. Z pomrukiem zachwytu objął dłońmi pełne piersi.

- Boże, Elizabeth - szeptał, opuszczając jasną głowę w wonną dolinę między piersiami dziewczyny. - Naprawdę, jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedyś.

Nie zrozumiała, dlaczego tak zaakcentował słowo „naprawdę”, ale nie miało to znaczenia w tym momencie. Ważne było to, co się działo w jej wnętrzu. Czuła w sobie żar, który pokrywał wilgotną mgiełką jej ciało, rozpalał mózg.

Dudniący dźwięk dalekiego grzmotu ledwie otarł się o skraj jej świadomości. Przez zamknięte powieki dostrzegła za oknami światło błyskawicy i poczuła dreszcz przebiegający ją od karku aż do pięt.

Błyskawica...? Czy też efekt pocałunków, jakimi Lyon obsypywał szczyty jej piersi?

Odpowiedź nie była ważna. Elizabeth zatoneła w szalonym wirze zmysłów, oddalonym o całe lata świetlne od pełnej goryczy teraźniejszości. Uczucia, wrażenia przenikające ją całą - to była sfera obecnych przeżyć.

Jakby odpowiadając na elektryzujący dotyk jego żarłocznych ust, Elizabeth objęła Lyona za głowę i wyginając się w łuk, przyciągnęła go do swych piersi. Ich biodra zetknęły się, wydzierając głośny jęk pożądania z ust Lyona i uświadamiając Elizabeth, jak bardzo jest podniecony.

- Elizabeth!

Szepcząc jej imię, z ustami błędzącymi po jej ciele, Lyon szukał zapięcia od spódniczki. Gdy znalazł, lekka szmatka zsunęła się na podłogę, tworząc wokół jej białych sandałów wielobarwny krąg. Lyon przesunął dłońmi wzdłuż jej ud, wywołując dreszcze i cichy okrzyk - wyraźny objaw doznawanej przyjemności.

Dziesięć lat minęło od tych dni, gdy Elizabeth przeżywała z nim podobny poryw namiętności. Od tego czasu, poza kilkoma całkiem niewinnymi pocałunkami i paroma przyjacielskimi uściskami, nigdy nie pozwoliła sobie na żadne zmysłowe przyjemności. Trzymała się z daleka od innych mężczyzn, aby nie narazić się na następne upokorzenie.

Ale to był Lyon, jedyny mężczyzna zdolny rozpalić w niej wrodzoną zmysłowość. Lecz ten dzisiejszy Lyon był inny, nieporównanie dojrzały i bardziej doświadczony w sztuce dawania i przeżywania miłości. Szeptał jej słowa szokujące i podniecające, obiecywał nieznane przeżycia, pełne zachwyty i rozkoszy, jakie ich czekały.

I pieścił ją z wprawą i czułością, która zapierała dech i mąciła umysł.

Skrawek jedwabiu, który osłaniał jej biodra, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, razem z jego czarnymi džinsami i slipkami. Poczowała, że Lyon kładzie ją na podłodze, więc uczepliła się jego koszuli, która rozpięta się również w jakiś magiczny sposób. Delikatna, jedwabna tkanina pieściła jej dłonie i wysyłała impulsy poprzez ramiona i barki w dół, po obnażonych piersiach, do samego centrum kobiecości. Wrażenia te jeszcze się spotęgowały, gdy poczuła pod plecami szorstki dotyk dywanu.

- Wyglądasz jak spełnienie marzeń każdego mężczyzny - mruzczał Lyon, muskając ustami wygięcie jej szyi. - Godna pożądanego, piękna kobieta leżąca w pozie absolutnego oddania obok płonącego ogniska.

W innym momencie Elizabeth uznałaby tę uwagę za głupią i obraźliwą w swej intencji, ale to nie był „inny moment”. Działo się to tu i teraz, był Lyon, jego pocałunki i pieszczoty, które pozbawiały ją przytomności i rozniecały coraz gorętszą namiętność, demaskując jednocześnie siłę pożądanego tego mężczyzny.

Zamiast więc protestować i gniewać się z powodu doznanej obrazy, Elizabeth głośnymi okrzykami dawała wyraz rosnącemu podnieceniu i prężyła się pod dotykiem warg Lyona. Nim jego usta odbyły długą drogę przez całe jej ciało, od wygiętej w łuk szyi do szczupłych kostek u nóg, Elizabeth wzniosła się na szczyty namiętności. Wiedziona potrzebą jeszcze bliższego z nim kontaktu, zerwała z niego czarną, jedwabną koszulę i pieściła dłońmi gładką skórę barków.

- Nie wytrzymam tego dłużej - usłyszała głos Lyona i poczuła, że jego ręce suną w dół, rozchylając jej uda. - Chcę, żeby to trwało bez końca - mówił szeptem, a jego palce, dotarwszy do źródła rozkoszy, wydzierały z jej ust drżące okrzyki.

Niezdolna do wypowiedzenia słowa, poganiana potrzebą zaspokojenia żądz, którym nie ulegała przez dziesięć lat, Elizabeth wyginała się w łuk w niemej prośbie złączenia się z nim jak najszybciej.

- Elizabeth! - wykrztusił Lyon przez zaciśnięte wargi. - Nie mogę już dłużej czekać.

Wszedł w nią, zadrżał spazmatycznie i po chwili uspokoił się, jakby znalazł upragnione schronienie.

Jednak Elizabeth, podniecona jego gorączkowym natarciem i palącą potrzebą zespolenia się z jego męskością, chwyciła go za pośladki i rozpoczęła swój rytmiczny atak, wyginając się i prężąc. Lyon, z ustami przy jej wargach, całował ją, kołysząc się w narzuconym przez Elizabeth rytmie. Napięcie stało się tak silne, że dziewczyna miała chęć krzyczeć w oczekiwaniu wyzwolenia.

Ale Lyon ciągle jeszcze panował nad tym pojedynkiem. Z maestrią doprowadzał ją do krawędzi ekstazy, a potem cofał się, odmawiając zaspokojenia, czując się jej pragnienia.

W końcu Elizabeth wśród szlochów zaczęła go błagać, aby zakończył tę straszną i wspaniałą mękę. Przez chwilę jeszcze jej tego odmawiał, ale wreszcie jego samokontrola prysła i spadł na nią w ostatecznym ataku, który wydarł z ust dziewczyny krzyk upojenia. Chwilę później ochrypłym głosem Lyon oznajmił swój własny triumf.

Elizabeth poczuła się wolna. Jej umysł, jakby nie mogąc znieść tego, co się stało, otoczył się uspokajającą zasłoną nieświadomości.

Nie miała pojęcia, jak długo tak leżała, nie zdając sobie sprawy, gdzie się znajduje. Lecz gdy się ocknęła, umysł miała jasny i zupełną świadomość, w jakiej jest sytuacji.

Lyon spał obok głębokim snem, a jego piękne, muskularne ciało jeszcze nigdy nie wydawało się jej tak ponętne.

Zaczynały się budzić w niej wyrzuty sumienia za zdradę samej siebie, więc odwróciła wzrok od powabnej sylwetki Lyona i odsunęła się od jego przyjemnie ciepłego ciała.

W świetle przygasającego ognia na kominku zaczęła się szybko ubierać. Potem wsunęła nogi w sandały, schwyciła torebkę i pobiegła przez pustawy, rozległy pokój do frontowych drzwi.

Gdy je otworzyła, znalazła się nagle w strumieniach deszczu, a gwałtowny wiatr, towarzyszący szalejącej burzy, szarpał jej ubranie. Zanim zbiegła ze schodów i dotarła do samochodu, przemokła do suchej nitki. Siekący deszcz zdawał się kłuć ją soplekami lodu. Trzęsąc się z zimna, otworzyła drzwi, usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Potem z oczami zalanymi łzami, które spływały po twarzy i niemal całkiem oślepiły, odjechała, jakby gonił ją ktoś z tego majaczącego w ciemności wielkiego domu.

Nie ujechała więcej niż kilkadziesiąt metrów od bramy, gdy musiała zwolnić i zjechać na pobocze ostro zakręcającej drogi. Strugi deszczu i własne łzy unie-

możliwiały dalszą jazdę. Trzęsąc się pod wpływem przeżywanych emocji, Elizabeth oparła się o kierownicę i rozszlochała na dobre. Zdrada. Zdrada. Zdrada!

Te słowa dudniły bez końca w jej głowie, a wtórowały im grzmoty rozlegające się wokół. Za jedną chwilę rozkoszy, za moment, w którym chciała przeżyć jeszcze raz swój piękny sen z przeszłości, a który ją prześladował przez wszystkie te puste lata - zdradziła siebie, a co gorsza, tym samym zdradziła swego ukochanego synka.

Jak mogła popełnić taki niewybaczalny błąd, powtarzała sobie wśród łkań. Byłoby jej lżej, gdyby mogła obarczyć winą Lyona, oskarżyć go, że posiadał ją wbrew jej woli jak arogancki i bezwzględny dziedzic, który w brutalny sposób egzekwuje prawo pierwszej nocy.

Ale nie mogła mieć do niego pretensji, przyznawała sama przed sobą. Była na to zbyt uczciwa. Choć prawdą jest, że Lyon ją sprowokował, uczciwość jednak nakazywała jej przyjąć na siebie część odpowiedzialności, choćby za brak silnej woli i odporności psychicznej.

Nie mogła zaprzeczyć, że poza początkowym werbalnym protestem, nie stawiała większego oporu. Była to prawda trudna do zaakceptowania, ale Elizabeth wiedziała, że była równie winna jak Lyon.

Uznała, że spadła na samo dno poniżenia i udręki, gdy inna jeszcze przerażająca myśl wyrwała z niej okrzyk protestu.

Jej upadek nie był wynikiem przypadku ani ślepego

fizycznego pociągu. Nie spowodował go sam tylko widok czy dotyk Lyona.

Ona najprawdopodobniej w świecie wciąż go jeszcze kochała! W tym samym momencie olśnienia Elizabeth znalazła odpowiedź na pytanie, które ją dręczyło od początku, gdy ruszyła w drogę do jego domu: po prostu straciła rozum!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Elizabeth odeszła.

Lyon wiedział, zanim jeszcze otworzył oczy, że nie ma jej obok niego. Czuł to instynktownie, całym ciałem.

Westchnął z nagłym żalem, w poczuciu otaczającej go pustki i rodzących się wyrzutów sumienia.

- Niech mnie diabli porwą! - mruknął i usiadł nagle. - Elizabeth! - wyrwało mu się wbrew woli.

Dlaczego w ogóle jej dotknął? - wyrzucał sobie, wpatrując się w dogasający ogień. Elizabeth oszukała go. Pozbawiła go syna na długich dziewięć lat - oskarżała ją, aby zepchnąć dręczące go wyrzuty sumienia gdzieś w głąb podświadomości. Zasłużyła sobie na karę i każdą formę odwetu, jaką by tylko obmyślił. Miał w ręku wszystkie atuty, może ją zniszczyć, kiedy tylko zechce. Dlaczego więc stracił z oczu swój najważniejszy cel? Jaki demon żądzyskusił go, aby dotknął ustami jej warg?

Żądza!

Ochrypły jęk wyrwał mu się z gardła. Boże, czy kiedykolwiek przeżył taką mękę pożądania na widok innej kobiety? Nie, na pewno nie. Pragnienie dotknięcia Elizabeth, całowania jej, zjednoczenia się z nią trawiło jego umysł, ciało i duszę.

Wstrząsnął nim dreszcz. Patrząc na gęsią skórkę, która pokryła mu ramiona i czując pulsowanie krwi, Lyon wiedział, że była to fizyczna reakcja na wspomnienie o Elizabeth. Chciał ją mieć znowu, potrzebował jej tak samo rozpaczliwie jak godzinę... dwie godziny temu. Potrząsnął głową. Upływ czasu nie miał znaczenia. Pożądał jej zupełnie tak samo, jak wtedy, dziesięć lat temu.

- Nie - zaprzeczył w duchu - nie tak jak wtedy, lecz dużo, dużo bardziej.

Dlaczego? - zaskoczył sam siebie pytaniem. Odpowiedź jeszcze nie całkiem sformułowana, ale już szokująca, wstrząsnęła nim. Zastygł w bezruchu, nie oddychając. Śledził własne nie tyle nie skoordynowane myśli, ile ogarniające go przeczucie czegoś, co napawała go przerażeniem.

- Nie! - Ten cichy szept był jak prośba o litość. Jednak nieubłagane przeczucie w dalszym ciągu stuknęło do zamkniętych drzwi jego świadomości.

- Niemożliwe! - Cichy okrzyk rozległ się w pustym pokoju.

Prieczucie nie ustępowało.

- Nieprawda! - warknął Lyon z oczami rozbłysłymi gniewem na siebie samego. - Nie jestem w niej zakochany. Co za bzdura! To zwykła żądza. Pociąg fizyczny. Chwilowe zauroczenie, nic poza tym. - Głos mu się załamał. - Nie mogę przeżywać tego jeszcze raz.

W tym momencie umysł Lyona zdradził go, przywołując na pamięć sceny z ostatniego spotkania. Przed jego oczami przesunęły się obrazy jak w kalejdoskopie.

Elizabeth leżąca na dywanie, z ciałem zaróżowionym od przeżywanej namiętności, z uchylonymi, wilgotnymi ustami, z ramionami wyciągniętymi do kochanka, wygięta w łuk, w kompletnym zatraceniu się, ujawniająca żądzę dojrzałej kobiety.

Żądza. Tak, upewniał siebie Lyon. Niewątpliwie Elizabeth pożądała go tak samo, jak on jej.

Z uczuciem ulgi Lyon sięgnął po ubranie. Włożył koszulę, potem dżinsy i gdy je zapinał, uprzytomnił sobie nagle, że nie zrobił nic, aby zabezpieczyć siebie i Elizabeth przed ewentualnym skutkiem ich bezmyślności - przed ciążą.

Zastygł w bezruchu, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, zapominając o zapięciu spodni. Ale tylko ciało znieruchomiało, w mózgu kłębiły mu się myśli: Co się stanie, jeśli okaże się, że i tym razem posiał swoje ziarno w żyznym łonie Elizabeth?

Na myśl o tym poczuł przeszywający go dreszcz podniecenia. Ale, o dziwo, nie był to dreszcz strachu, jak by się tego można było spodziewać, lecz raczej przyzwolenia, akceptacji.

Akceptacji?

Lyon wymówił to słowo na głos, wsłuchując się w jego brzmienie.

Dlaczego: akceptacji? - pytał sam siebie zdumiony.

Ponieważ wtedy mógłbyś ją mieć wyłącznie dla siebie. Łatwiej mógłbyś ją zmusić, aby została z tobą na stałe - padła odpowiedź.

To znaczy: co? Małżeństwo? - Lyon kontynuował dialog z samym sobą.

A cóż by innego? - usłyszał w odpowiedzi.

Czy ty zwariowałeś?

Przecież chcesz z nią być, więc dlaczego uważasz, że to szaleństwo?

Tak... ale... małżeństwo?

Dlaczego nie? To wiąże ludzi... do pewnego stopnia.

Ale ona mnie już raz oszukała, uciekła ode mnie. Byłbym szalony, dając jej swoje nazwisko.

Lyon drgnął, słysząc własny ochryply głos. Do cholery, żeby mówić do siebie! A nawet kłócić się ze sobą!

Dałbyś wtedy nazwisko nie tylko jej, ale również swojemu synowi i ewentualnemu przyszłemu potomstwu - tłumaczył mu głos wewnętrzny z zimną logiką.

Przyszłe potomstwo. Lyon analizował tę myśl, tym razem w milczeniu.

W dodatku miałbyś Elizabeth w łóżku każdej nocy. W łóżku, a nie na podłodze.

Lyon z trudem przełknął ślinę. Jeszcze raz z rozmysłem spojrzął na dywan przed kominkiem, aby przypomnieć sobie Elizabeth roznamiętnioną i chętną, czekającą na niego. Ten widok nawet w wyobraźni był niezwykle podniecający. I początkowo lekkie dreszcze podniecenia zmieniły się w palącą potrzebę jej obecności.

Przyznaj się, Cantrell, pragniesz jej aż do bólu i zawsze pragnałeś, od dnia jej osiemnastych urodzin - usłyszał znowu wewnętrzny głos.

Tak - wyznał wreszcie.

A więc zdobądź ją, nieważne, czy zasiałeś to ziarno, czy nie. Idź do niej i zdobądź ją.

- Tak. - Lyon podniósł głowę. Rozżarzone głownie

odbijały się w jego błękitnych oczach. Był w posiadaniu środków wystarczających, aby skłonić ją do postępowania zgodnie z jego wolą, w małżeństwie, czy poza nim. W ten czy inny sposób, poprzysiągł sobie Lyon, z chęci zemsty lub też ze względu na trawiące go pożądanie - zdobędzie ją.

Ulewa przeszła w mniejszy, choć rześisty deszcz do czasu, gdy Elizabeth opanowała się na tyle, by kontynuować dalszą jazdę. Gdy wjechała na podjazd domu brata, zobaczyła, że światła pałą się w bawialni. Był to znak, że Jenny czekała na nią, chcąc dowiedzieć się wszystkich szczegółów spotkania z Lyonem.

Elizabeth westchnęła. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była rozmowa na temat przebiegu tej konfrontacji. Rozmowa? Nawet nie chciała o tym myśleć. Była zziębnięta, przemoczona i wyczerpana.

Westchnąwszy jeszcze raz, wysiadła z samochodu. Nie śpieszyła się zbyt, aby schronić się pod daszek nad wejściem. Była tak przemoczona, że nie miało to już żadnego znaczenia.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Jen na jej widok.
- Czy nie miałaś w samochodzie parasolki?

Elizabeth zmarszczyła czoło. Parasolka? Po zastanowieniu przypomniała sobie, że wozila coś takiego ze sobą na wypadek deszczu. Po prostu nie pomyślała o tym.

- Tak, ale zapomniałam, że ją mam - przyznała.
Jenny wzniosła oczy do nieba.
- Wyglądasz strasznie.

- Wiem. Rozpętała się burza. Musiałam zatrzymać samochód i przeczekać ulewę, bo nie widziałam drogi.

- Biedactwo - litowała się Jenny. - Idź od razu na górę i przebierz się w suche rzeczy - poradziła, kierując się do kuchni - a ja ci przygotuję gorącej herbaty... z dodatkiem whisky.

- Świetny pomysł - rzekła Elizabeth, choć miała chęć dodać: - ale wolałabym whisky bez herbaty.

Kwadrans później, po gorącym prysznicu, Elizabeth weszła do kuchni owinięta frotowym szlafrokiem i z ręcznikiem kąpielowym tworzącym turban wokół głowy.

- Lepiej się czujesz? - spytała Jenny, stawiając przed nią filiżankę parującego płynu.

- Tak. - Elizabeth opadła ciężko na krzesło, objęła zziębniętymi dłońmi filiżankę i obdarzyła przyjaciółkę bladym uśmiechem. - Dzięki.

- Okropnie było, prawda?

Elizabeth nie wiedziała przez moment, co odpowiedzieć. Na usta cisnęły się jej równocześnie dwa zdania: „To było straszne” i „Było cudownie”. Szybko zdecydowała się na pierwszą wersję.

- Tak - odparła.

- Opowiedz mi.

- Mówiąc krótko, on nie blefował.

Trzymając obiema rękami filiżankę, wypijała mały łyk herbaty, aby złagodzić bolesny skurcz w gardle.

Jenny spojrzała zaskoczona.

- Nie rozumiem. Przecież to on zawinił. Jakie może mieć argumenty?

Elizabeth głosem znużonym i monotonnym opo-

wiedziała jej, jakimi „atutowymi kartami” zamierza posłużyć się Lyon, i zacytowała groźby, których wysłuchiwała tego popołudnia.

- A ponieważ sprawozdanie wywiadowców zawiera dokładne informacje o wszystkich mężczyznach, z którymi miałam do czynienia, wymienia daty i miejsca spotkań, Lyon uznał, że jestem dziwką, a więc nie nadaję się na matkę dla jego syna.

- Dziwka! Ty?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Jenny, wybuchając śmiechem. - To największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałam. Na litość boską, ty jesteś najprzystwoitszą kobietą, jaką znam.

Elizabeth wzruszyła ramionami z rezygnacją.

- Tak, ale ponieważ niektóre z tych spotkań kończyły się wizytą u mnie, w moim mieszkaniu, o dość późnej porze, a nie ma świadków, że nie było w tym nic zdrożnego, Lyon insynuuje, że oddawałam się rozpucie, podczas gdy Mitch spał nieświadomy niczego w swoim łóżeczku.

- To nie do uwierzenia - powiedziała wstrząśnięta Jen. - Przecież nie pozwoliłabyś sobie na to, żeby ulec jakiemuś mężczyźnie.

Elizabeth poczuła, jakby ją ktoś uderzył. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że jednak pozwoliła sobie na coś takiego. Fakt, że tym mężczyzną był jedyny człowiek, jakiego kiedykolwiek kochała i ojciec jej dziecka, nie tłumaczył jej niewybaczalnego błędu. Była winna i zdawała sobie z tego sprawę.

- Ale Lyon o tym nie wie - odparła, trąc zaczerwienione od płaczu oczy. - Natomiast wie, że raz uległam mężczyźnie. Właśnie jemu.

- I to ma być dowodem, że szłaś do łóżka z każdym, kto się nawinał? - dokończyła Jenny. - Co za absurd. Ale Lyon zapomina o jednej rzeczy.

- Jakiej? - zapytała Elizabeth z nadzieją, że Jenny pomyślała o czymś ważnym, istotnym dla sprawy, co ona sama ze zdenerwowania przeoczyła.

- Sędziowie bardzo rzadko wydają wyrok odbierający dziecko matce.

Nadzieja Elizabeth prysła.

- Ja już mu to powiedziałam.

- I co?

- Stwierdził, że jestem naiwna, bo zapomniałam iż pieniądze mogą wiele zdziałać, a duże pieniądze -jeszcze więcej. Taki to miało mniej więcej sens.

- Tobie potrzebny jest adwokat - stanowczy ton głosu Jen przedarł się przez chmurę zaciemniającą umysł Elizabeth.

- Tak, wiem.

- Do diabła, chciałabym, żeby Chuck tu był.

Elizabeth westchnęła.

- Ja jeszcze bardziej. Nie mam pojęcia, do kogo się udać - poskarżyła się zmęczonym głosem. - Wiem, że powinnam mieć naprawdę dobrego prawnika. Takiego, który nie bałby się wystąpić przeciwko Cantrellom i ich potędze.

Na twarzy Jenny po raz pierwszy pojawił się wyraz niepokoju.

- Czujesz się przygnębiona, prawda?

- Więcej - powiedziała Elizabeth w przypiływie strachu - jestem przerażona.

Dopiero znacznie później, susząc włosy w swojej sypialni, Elizabeth uzmysłowiła sobie, co jeszcze może jej grozić.

Co by było, gdyby zaszła w ciążę?

Doznała takiego wstrząsu, że suszarka wysunęła się jej z ręki i z hukiem upadła na blat toaletki. Patrząc tępo na huczący przedmiot, Elizabeth rozpaczliwie wmawiała sobie, że to niemożliwe. A gdyby jednak?

Czuła zamęt w głowie i nie potrafiła zebrać myśli.

Przecież raz już się to zdarzyło!

Ale nie za pierwszym razem!

Jeszcze jedno dziecko - bez ojca?

Może tym razem urodzi się dziewczynka? O Boże! Elizabeth wzdrygnęła się i starała opanować rozbiegane myśli, nie tyle z powodu rozpacz czy strachu, lecz z powodu nagłego podniecenia, jakie zrodziła w niej perspektywa noszenia w sobie córki Lyona.

Nie, nie i nie!

Jednak, choć odrzucała tę możliwość, jej wyobrażenia malowała żeńską wersję Mitchella - śliczną blondyneczkę o błękitnych oczach.

Nie.

Osiągnąwszy już pewien stan spokoju, Elizabeth zaczęła liczyć dni miesiąca i doszła do wniosku, że szanse na zajście w ciążę były znikome. Wyciągnęła rękę, która przestała się trząść, i wyłączyła suszarkę. Chwilę później zgasiła lampę i poszukała wyzwolenia od dręczących myśli w objęciach snu.

Dwa, trzy, wreszcie cztery długie i męczące dni minęły bez jakiegokolwiek wieści od Lyona. Przez cały

ten wlokący się czas Elizabeth żyła w ciągłej niepewności, przechodząc od nadziei do rozpacz.

Następnego dnia po wizycie Elizabeth u Lyona Jen wzięła inicjatywę w swoje ręce i zamówiła rozmowę międzynarodową z Chuckiem.

Przeklinając wszystkich Cantrellów i własną sytuację, która uniemożliwiała mu powrót do Stanów, aby pomóc siostrze, Chuck polecił jej bardzo dobrą i bardzo drogą kancelarię prawniczą z Filadelfii oraz obiecał ponieść wszelkie koszty tej sprawy.

Po pierwszej telefonicznej rozmowie z jednym ze starszych adwokatów z tej firmy, budzącym zaufanie i bardzo pewnym siebie panem Mendelsonem, w sercu Elizabeth rozbłysła iskierka nadziei.

Mecenas Mendelson, wypytawszy ją o szczegóły, obiecał, że zrobi wszystko, co jest możliwe, aby zapewnić jej zwycięstwo w pojedynku z Lyonem, a zacznie od zebrania informacji dotyczących okoliczności sprawy. Zanim się rozłączyli, Elizabeth umówiła się z nim na spotkanie w siedzibie firmy wkrótce po powrocie do Filadelfii.

Gdy mijały dni, a od Lyona nie było żadnych wiadomości, rozpacz znów ogarnęła Elizabeth. Zbliżał się koniec jej urlopu, a dwa dni po powrocie do bazy w Filadelfii miała wyznaczony lot do Phoenix. Nie mogła więc opóźniać powrotu do domu.

Mimo to zwlekała z pakowaniem rzeczy, łudząc się, że zadzwoni telefon albo przed dom zajędzie Lyon swoim sportowym samochodem.

Co on zamierzał uczynić?

Zadreczała się przypuszczeniami. Piątego dnia do-

znała wrażenia, że błąka się w labiryncie pogrążonym w ciemności. W labiryncie, który sama zbudowała. Zastanawiając się, co ją czeka ze strony Lyona, Elizabeth analizowała cechy swojej osobowości.

Jaka wada czy słabość charakteru powodowała, że na samo przypomnienie miłostnego aktu z Lyonem drżała jak w febrze?

Elizabeth uważała się za silną, inteligentną kobietę. A jednak widok Lyona, dźwięk jego głosu czy też najłżejsze dotknięcie - wszystko to miało moc zmieniającą jej w rozdygotany kłębek nerwów. Kochała go kiedyś każdą cząstką swej istoty. Czyżby ta miłość była tak silna i głęboka, że przetrwała mimo okrucieństwa, z jakim ją porzucił?

Czy też po prostu szukała usprawiedliwienia, że uległa mężczyźnie, który był jej wrogiem?

A co z samym Lyonem? - pytała siebie. Przecież kochał się z nią tego wieczoru. Co go do tego skłoniło? Zagroził, że odbierze jej dziecko. Czy mógłby naprawdę tak postąpić? Bez przerwy zadawała sobie te pytania, czując na przemian strach i furję. Z upływem dni stawała się coraz cichsza, coraz bardziej zamknięta w sobie i nerwowa. Jen obserwowała ją czujnym, pełnym współczucia wzrokiem.

Czekając daremnie na wieść od Lyona, Elizabeth odkładała pakowanie aż do ostatniego popołudnia.

- Czuję, że powinnam coś zrobić - rzekła, opanowując chęć, aby zwinąć w kłębek bluzkę, którą trzymała w ręku, i cisnąć ją do otwartej walizki.

- Właśnie coś robisz - zauważyła Jen. - Pakujesz się, aby wrócić do domu.

Elizabeth podniosła na nią oczy i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie o to mi chodzi, dobrze o tym wiesz.

- Wiem. Czujesz potrzebę działania.

- Tak - odparła z głębokim westchnieniem Elizabeth. - Ta niepewność doprowadza mnie do szaleństwa.

Jen podała jej następną bluzkę z wieszaka i zapytała z wymownym spojrzeniem:

- Czyżbyś uważała, że Lyon nie zdaje sobie z tego sprawy, jak działa na ciebie taka zabawa w kotka i myszkę?

- O, niewątpliwie doskonale zdaje sobie z tego sprawę - mruknęła Elizabeth, rzuciwszy do walizki bluzkę, którą uprzednio porządnie złożyła. - Sądzę, że doskonale bawi się moim kosztem.

- Może należałoby podjąć jakąś akcję? - zastanowiła się Jenny, mrużąc oczy filuternie.

- Na przykład jaką? - spytała Elizabeth z wahaniem, widząc wyraz twarzy bratowej.

- No, mogłabyś ewentualnie podjechać samochodem do tej jego fortecy, a kiedy Lyon otworzy drzwi, załatwić sprawę, waląc go prawym sierpowym w żołądek.

Jen osiągnęła swój cel. Po raz pierwszy od kilku dni Elizabeth roześmiała się wesoło, spontanicznie. Ciągle jeszcze się śmiała, gdy dobiegł ją głos Mitcha, wołającego z podwórka:

- Mamo, pan Cantrell przyjechał i chce się z tobą zobaczyć.

Śmiech zamarł Elizabeth na ustach. Spojrzała /. lękem na Jenny.

- Jak myślisz, czego on może chcieć? - szepnęła, jakby się bała, że Lyon usłyszy.

- Prawdopodobnie chce cię jeszcze bardziej przstraszyć - mruknęła Jenny z odrazą. - Dlaczego mu nie poradzisz, żeby wszedł na najwyższą wieżę tej swojej fortecy i skoczył w dół?

Tym razem żart nie pomógł. Elizabeth poczuła się chora ze strachu, lecz jednocześnie podniecona czekającą potyczką z Lyonem. Przez moment miała ochotę uciec i skryć się przed nim, potem znów bieg do niego na spotkanie. W rezultacie stała milcząco, niezdecydowana.

- Mamo!?! - wrzeszczał Mitch.

Elizabeth wpatrywała się w otwarte drzwi, stojąc bez ruchu. W końcu wyręczyła ją Jenny.

- Powiedz panu Cantrellowi, żeby wszedł, Mitch. Mama zaraz zejdzie.

I znowu wspomnienia osaczyły Elizabeth. Ale nie pamięć o bezwzględnym sposobie, w jaki Lyon ją potraktował, lecz wspomnienie głodnych ust, jego rąk na sobie i napiętego, muskularnego ciała.

Zwilżyła zeschnięte wargi. Nie mogła, po prostu nie mogła mu spojrzeć w oczy po swoim haniebnym wyczynie. Ale wiedziała też, że nie może tego wyjaśnić Jenny.

- Nie chcę... nie chcę z nim mówić. Niech mój adwokat z nim porozmawia - powiedziała ochrypłym głosem, patrząc błagalnie na bratową. - Proszę cię, Jenny, idź i powiedz mu to.

Jenny patrzyła na nią w zdumieniu.

- Ty się go boisz? Ty, kobieta, o której zawsze sądziłam, że nie złęknie się niczego ani nikogo?

- Ale czy ty niczego nie rozumiesz? - krzyknęła Elizabeth, a potem spojrzawszy na otwarte drzwi, podeszła i zamknęła je, aby zyskać parę sekund na wymyślenie usprawiedliwienia. - To nie jest „nikt”. To jest potężny Lyon Cantrell, który występuje do sądu, aby odebrać mi prawo opieki nad Mitchellem.

- Nie, nie rozumiem - stwierdziła Jenny, gdy Elizabeth przerwała, aby się opanować. - Wariowałam przez cały tydzień, zastanawiając się, co on knuje, a teraz masz okazję wszystkiego się dowiedzieć. - Wzruszyła ramionami. - Kto wie, może uda ci się wydobyć z niego jakąś cenną informację, która przydałaby się mu twojemu adwokatowi w bitwie przeciwko Lyonowi.

- Może - zgodziła się Elizabeth - ale nie wiem, czy potrafię to zrobić.

- Poza tym - wpadła jej w słowo Jenny, jeszcze bardziej ją dobijając - chyba nie chcesz, żeby Lyon zorientował się, że się go boisz.

Duma odezwała się w Elizabeth i pomogła jej podjąć decyzję. Duma i głos Mitcha, który wołał do niej z dołu.

- Mamo, Lyon powiedział, że ma już dosyć tego antyszambrowania - cokolwiek to znaczy - i że jeśli nie zejdziesz na dół, to on pójdzie na górę.

- Lyon powiedział...?

Lyon!?

Elizabeth zdumiona spojrzała w stronę drzwi. A więc kazał Mitchowi mówić do siebie: Lyon. Złość zakopiała w niej z nową siłą.

- Zaraz o tym porozmawiamy fuknęła, ruszając

szybkim krokiem ku schodom. Postara się też wyciągnąć trochę informacji z tego podłego zarozumialca. Wejdzie na górę, rzeczywiście! Może też wdrze się do jej sypialni?! - mruzczała do siebie, zbiegając ze schodów.

Najwyraźniej porzucony przez Mitcha, Lyon stał sam w pokoju przy oknie. Na tle małego, przytulnego, ale trochę prowincjonalnego w stylu saloniku Jenny wyglądał na niezwykle pewnego siebie, władczego i wyrafinowanego.

Nie zwracając uwagi na swój wygląd, Elizabeth, z oczami pociemniałymi od gniewu i włosami opadającymi na ramiona, wpadła do pokoju gotowa do walki.

- Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? Kim ty jesteś?
- krzyknęła.

Choć zaskoczony jej nagłym atakiem, Lyon szybko się opanował i odpowiedział lodowatym tonem:

- Wiem dokładnie, kim jestem. Ojcem Mitcha.
-I dodał z pewnym siebie uśmiechem: - Oraz tym, kto odda decydujące strzały w tej potyczce.

- Czyżby? Chyba zbyt szybko wyciągasz optymistyczne wnioski.

- Nie wydaje mi się - odparł z drwiącą miną.

Elizabeth poczuła, że instykt ostrzega ją przed groźącym niebezpieczeństwem, ale starała się zachować niewzruszoną postawę i niefrasobliwy uśmiech.

- Nie chciałabym ci psuć przyjemności, ale przypomnam, że termin składania zeznań w tej sprawie jeszcze nie został wyznaczony.

- To prawda - potwierdził Lyon.

Choć przecucie katastrofy znów nawiedziło Elizabeth, jednak postanowiła sprowokować Lyona i uzys-

kać jakieś informacje o jego planach, nie tyle dla pana Mendelсона, co dla samej siebie.

- Dlaczego sądzisz, że sam decydujesz w tej sprawie o wszystkim?

- Z bardzo prostego powodu. Moi adwokaci odbyli już kilka rozmów z sędzią wyznaczonym do rozpatrzenia złożonego przeze mnie pozwu.

Uśmiech Lyona przesycony był satysfakcją i pewnością siebie.

- To jest podłość! - zawołała Elizabeth, wstrząśnięta do głębi.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Lyon. - Jeśli sobie przypominasz, uprzedziłem cię, że mój pozew został wniesiony do sądu kilka tygodni temu. Sędzia zgodził się konferować z moimi prawnikami, ponieważ ty nie złożyłaś odwołania.

- Ależ nikt mnie o tym nie zawiadomił.

- Mylisz się - odparł Lyon. - Próbowano cię zawiadomić o wszczętym postępowaniu sądowym.

- Tylko że mnie nie było w domu. Byłam tutaj! - krzyknęła Elizabeth. - I ty o tym wiedziałeś!

- Tak, wiedziałem, ale nie słyszałem, żeby istniały przepisy prawne takie, które zmuszałyby mnie do mówienia wszystkiego, co wiem. Zdecydowałem się zachować tę informację dla siebie.

- Zrobiłeś to specjalnie, żeby zniweczyć moje szanse! - zawołała Elizabeth.

- Oczywiście - przyznał. - Jestem całkowicie zdecydowany wygrać sprawę o przyznanie mi prawa opieki nad synem, a z informacji, jakie otrzymałem od moich adwokatów kilka godzin temu, wynika, że ją wygram.

Mitch! Utraci go! Elizabeth ogarnęła panika. Poczwała, że powinna natychmiast uciekać razem z synem i ukryć go. Tak uciekali jej rodzice z nią samą dziesięć lat temu. Teraz ona szukała gorączkowo sposobu i miejsca, aby się ukryć przed tym człowiekiem.

- Mam dla ciebie propozycję - głos Lyonsa przedarł się przez opary strachu, w których pograżyła się Elizabeth. - Jeśli się zgodzisz, możemy zakończyć ten spór tu i teraz.

- Propozycję? - zapytała z niedowierzaniem. - Co to za propozycja?

- Możesz mieć przy sobie syna pod jednym warunkiem.

Elizabeth czuła, że nie spodoba jej się ten warunek. Ale była gotowa zgodzić się prawie na wszystko, aby tylko nie rozstawać się z Mitchem. Wahała się przez moment, przestraszona i niepewna, a potem westchnęła głęboko i zebrała się na odwagę.

- Słucham, co to za warunek?

- Oboje, ty i Mitch, musicie ze mną zamieszkać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Co?

Elizabeth patrzyła na Lyona w osłupieniu, a potem nagle wybuchnęła śmiechem. Jego propozycja zupełnie ją zaszokowała. Prosił, żeby z nim żyła? Nie, on nie prosił. On tego żądał.

Dziesięć lat temu, kiedy poszłaby za nim na koniec świata lub jeszcze dalej, Lyon wzgardził jej miłością, wyparł się jej i ich nie narodzonego jeszcze dziecka z całkowitą bezwzględnością.

A teraz, po latach, w których go nienawidziła i tęskniła za nim na przemian, Lyon ma nieprawdopodobną czelność stawiać jej taki warunek.

Gdzieś w głębi domu rozległ się ostry dzwonek telefonu, ale w natłoku myśli nie zwróciła na to uwagi.

Musiała go źle zrozumieć. Tak, na pewno. Nie mógł powiedzieć nic takiego.

- Dobrze słyszałaś - rzekł Lyon, jakby czytając jej w myślach.

- Zamieszkać i żyć z tobą? - zapytała, potrząsając głową. - Czy ty postradałeś...

- Przepraszam - rozległ się głos Jenny od drzwi.

- ...zmysły? - dokończyła Elizabeth nie zauważając, że bratowa chce jej coś przekazać.

- Nie, proponuję tylko zawarcie z tobą umowy
- odparł Lyon, patrząc z niechęcią na Jenny.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że przeszkadzam, ale... - przerwała Jenny, nie przejmując się jego gniewną miną.

- Umowy? - wykrzyknęła znów Elizabeth, nie dopuszczając do głosu Jenny. - To nie jest umowa, to jest najzwyczajniejszy szantaż.

- Możesz to nazywać, jak chcesz...

- Elizabeth!

- Do diabła, kobieto! - warknął Lyon, patrząc ze złością na Jenny. - Czy musisz nam przeszkadzać?

Pełen wściekłości ton głosu Lyona sprawił to, czego nie potrafiła osiągnąć Jenny. Zanim zaskoczona kobieta zdobyła się na odpowiedź, Elizabeth zwróciła się do niej.

- Co się stało, Jen?

- Telefon - odparła, rzucając gniewne spojrzenie na Lyona. — Proszę cię do telefonu.

Lyon skrzywił się i wycedził ze złością:

- Nie może pani odebrać i później przekazać Elizabeth, o co chodzi?

Jenny podniosła wojowniczo głowę do góry.

- A pan nie może przestać mną komenderować?

- Jen, proszę cię, zanotuj, kto dzwoni - poprosiła z westchnieniem Elizabeth. - Nie mogę teraz rozmawiać, zadzwonię później.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli teraz podejdziesz do telefonu - poradziła jej Jenny. - Dzwoni pan Mendelson.

- Kim, u diabła, jest... - zaczął Lyon.

Elizabeth nie słuchała. Odwróciwszy się pośpiesznie, pobiegła do kuchni, łudząc się, że ta rozmowa przyniesie jakieś rozwiązanie. Może pan Mendelson będzie miał jakieś dobre wiadomości, które staną się dla niej wybawieniem. Czepiała się tej nadziei i modliła, aby tak było, gdyż jeśli nie znajdzie sposobu na odparcie frontalnego ataku Lyona, zupełnie nie będzie wiedziała, jak powinna zareagować na jego propozycję. Prosząc Boga w duchu o dobre wieści, podniosła słuchawkę.

- Halo! Pan Mendelson?-zapytała głosem ochrypłym ze zdenerwowania. - Mówi Elizabeth Ware.

- Obawiam się, że mam niezbyt dobre wiadomości dla pani - powiedział prawnik bez ogródek, niwecząc jej wszelkie nadzieje.

Zdawało się, że cała energia nagle opuściła Elizabeth, pozostawiając tylko słabość. Dziewczyna zamknęła oczy i oparła czoło o chłodną ścianę w kuchni.

- Pani Ware, czy pani mnie słyszy?

- Tak, słyszę.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał adwokat wyraźnie zaniepokojony. - Głos pani dziwnie brzmi.

- Nic mi nie jest - zapewniła go, choć było to dalekie od prawdy. - Proszę, niech pan mówi dalej.

- A więc - podjął Mendelson, chrząknawszy - właśnie otrzymałem wyciąg z raportu dochodzeniowego. Otóż nie znaleziono żadnych faktów potwierdzających informacje, których nam pani udzieliła na początku tygodnia.

Elizabeth otworzyła szeroko oczy i zamarła, słysząc te słowa.

- Co? Czyżby pan sądził, że kłamałam?

- Nie, nie. Oczywiście, że nie - uspokajał ją adwokat. - Proszę zrozumieć, ja tylko informuję panią o wynikach dochodzenia.

- Nic nie rozumiem! - wykrzyknęła Elizabeth.
- Wszystkie podane przeze mnie informacje są prawdziwe. Przysięgam!

- Nie wątpię w pani prawdomówność - zapewnił ją pan Mendelson. - Chcę tylko powiedzieć, że nie mamy żadnych zarejestrowanych faktów ani dokumentów, które by mogły potwierdzić pani słowa. To oznacza, że nie będziemy mogli przedstawić sędziemu żadnych niepodważalnych dowodów.

- A ten czek, który mój ojciec otrzymał od pana Cantrella? - zapytała trzęsącym się głosem. - Musi gdzieś być zaksięgowana wypłata tak wielkiej sumy.

- Ma pani rację, taki czek jest zaksięgowany i zrealizowany przez pani ojca - potwierdził prawnik.

- Więc dlaczego...

- Proszę pozwolić mi skończyć, panno Ware. Fakt, że na czeku jest podpis pani ojca, nie świadczy o niczym, ponieważ nie został wystawiony przez żadnego z Cantrellów.

- Jak to? Nie rozumiem. Jak to mogło się stać?

- Czy kiedykolwiek przyjrzała się pani temu czekowi?

- Nie. Jak już panu mówiłam, nie chciałam przyjąć tego czeku. Nigdy na niego nie spojrzałam. Nie chciałam mieć nic do czynienia z tymi pieniędzmi.

- To całkiem zrozumiałe w opisanych przez panią okolicznościach - mówił pan Mendelson modulowanym głosem. - Ale gdyby go pani obejrzała, praw-

dopodobnie zauważyłaby pani pewne szczegóły, które teraz mają zasadnicze znaczenie. - Przerwał na moment, aby nabrać tchu i mówił dalej, niweczając do reszty jej nadzieje. - Pani ojciec zrealizował ten czek dopiero wówczas, gdy już osiedliliście się na Florydzie, gdzie czek był postdatowany.

- Z każdą chwilą mniej rozumiem. Co ma do tego data na czeku czy też to, kiedy go ojciec zrealizował?

- Zaraz wszystko pani wyjaśnię - powiedział pan Mendelson. - Zgodnie z tym, co pani mówiła, pani ojciec pracował jako kierownik w miejscowej fabryce obuwia, tak?

- Tak.

- Ustaliliśmy, że pani ojciec jako powód zmiany miejsca pracy podał możliwość awansu.

- Ale to była wymówka.

- Niewątpliwie. Ale, niestety, czek zrealizowany przez pani ojca był wystawiony przez zarząd małej firmy obuwniczej w Ohio. Wypłaconą kwotę zaksięgowano jako wynagrodzenie za usługi doradcze pani ojca. Na czeku widnieje nazwisko kasjera, który już w tej chwili nie żyje.

Elizabeth zacisnęła usta i zmarszczyła brwi. Może była oszołomiona, ale nie głupia. Nie potrzebowała dalszych wyjaśnień, obraz sytuacji był dość czytelny. Ale zadała jeszcze jedno pytanie.

- Proszę mi powiedzieć, czy ze zbadanych faktów wynika, że ta mała firma z Ohio była częścią koncernu Cantrellów.

- Tak, oczywiście, w pewnym sensie była potwierdził jej podejrzenia prawnik. - A ponieważ Cantrel-

lowie sprzedali tę firmę tuż przed tym, jak ojciec pani zrealizował czek, sędzia nie widzi możliwości udowodnienia przekupstwa.

- Przecież moja matka i ojciec mogą zeznawać w sądzie, mogą wyjaśnić, w jakich okolicznościach pan Cantrell przyszedł do naszego domu i zaproponował tę olbrzymią sumę w imieniu Lyona! - wykrzyknęła Elizabeth.

- Rozważyłem tę możliwość, proszę pani - rzekł adwokat z westchnieniem, jakby przygotowując ją do tego, co powie. - Nawet już rozmawiałem z pani rodzicami na temat ich ewentualnych zeznań. Ale czuję się w obowiązku ostrzec panią, żeby pani nie pokładała w tym fakcie wielkich nadziei, choćby dlatego, że starszy pan Cantrell nie żyje i nie może ani potwierdzić, ani podważyć ich zeznań.

- Rozumiem - powiedziała Elizabeth z rezygnacją. - Przegraliśmy, tak? Jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy.

- Oczywiście będę próbował przygotować jakąś linię obrony - dodał pan Mendelson. - Lecz uczciwość każe mi ostrzec panią, że jak dotąd...

Głos ucichł, odbierając jej ostatnią nadzieję na zwycięstwo. Rozłączyli się, a Elizabeth stała jakiś czas z opuszczoną głową i zwieszonymi ramionami.

Matka. Musi porozmawiać z matką.

Usta jej się trzęsły, a łzy napłynęły do oczu, gdy znów ujęła słuchawkę i zaczęła wybierać numer. Po chwili jednak odłożyła słuchawkę. Co może powiedzieć? „Mamo, jak się czuje tatuś? Pomóż mi, tracę syna, a ty możesz stracić wnuka”.

Nie. Nie może tego zrobić. Ojciec miał atak serca niecały rok temu. Nie wolno go denerwować.

- Elizabeth? - zatroskany głos Jenny przerwał jej rozmyślenia. - Kochanie, co się stało? Co ci powiedział pan Mendelson? Wyglądasz jak śmierć.

A czuję się jeszcze gorzej, pomyślała. Zdecydowała się niczego nie wyjaśniać bratowej. Jenny dość już miała z nią kłopotów. Wyprostowała się i westchnęła głęboko.

- Nic mi nie jest - powiedziała z bladym uśmiechem. - Ja... to znaczy... Wybacz mi, ale muszę porozmawiać z Lyonem.

Widząc wyraz buntu na twarzy Jen, uniosła rękę do góry.

- Jest parę spraw, które musimy omówić.

Jenny nie wyglądała na przekonaną, więc Elizabeth uprzedziła jej protesty.

- Wszystko będzie dobrze, naprawdę - uśmiechnęła się trochę niepewnie. - Lyon mnie nie skrzywdzi, bądź spokojna.

- Nie byłabym tego taka pewna, ale jeśli musisz... - westchnęła. - Co chcesz, żebym zrobiła?

- Czy mogłabyś trzymać chłopców z dala od domu przez jakiś czas? Pół godziny, powiedzmy?

Jenny spojrzała na nią znacząco.

- Czy sądzisz, że hasło „pizza w mieście” odniesie skutek?

Elizabeth wreszcie szczerze się uśmiechnęła.

- Na pewno tak.

- A więc znikam. - Jenny skierowała się do kuchennego wejścia, ale jeszcze raz się zatrzymała. - Czy jesteś pewna, że dasz sobie radę?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Jak to zauważyłaś parę tygodni temu - co Lyon może mi zrobić?

- Biorąc pod uwagę, że to dotyczy Cantrella - powiedziała ponuro Jenny - tylko sam Pan Bóg, albo raczej diabeł, znają odpowiedź na to pytanie.

Nie, nie tylko, myślała Elizabeth, patrząc za od-
dalającą się Jenny i czując się opuszczona i pełna strachu. Ja też wiem, a przynajmniej podejrzewam, do czego ten człowiek zmierza.

Lecz nie ma wyboru. Lyon zwyciężył. Nie blefował ani się nie przechwalał. Rzeczywiście miał w ręku atutowe karty. Nie pozostawało jej nic innego, jak pogodzić się z porażką.

Patrząc w kierunku pokoju, gdzie na nią czekał, starała się uspokoić. Jak to on wcześniej powiedział? Że nie ma takich przepisów prawnych, które zmuszałyby go do powiedzenia wszystkiego, co wie. Otóż nie ma też takich przepisów, które by nakazywały jej prowadzić grę według jego reguł.

- Lyon wygrał, ale - zakłęta w duchu, czując nawrót gniewu - choć zrobi wszystko, co będzie musiała, użyje wszelkich sposobów, jakie tylko przyjdą jej do głowy, aby to zwycięstwo nie było dla niego zbyt słodkie.

Zwyciężył. Domyślił się tego natychmiast, gdy Elizabeth weszła do pokoju. Choć uśmiechała się, przegraną miała wypisaną na twarzy. O poniesionej klęsce świadczył wyraz jej oczu.

Ogarnęła go radość, ale zaraz potem doznał dziw-

nego uczucia żalu. Elizabeth wyglądała tak pięknie, naprawdę pięknie, gdy wyszła do niego niespełna godzinę temu, z włosami opadającymi na ramiona jak barwna chmura, z ogniem buntu w oczach.

Takiej właśnie kobiety Lyon pragnął - tygrysy, która pazurami i kłami gotowa była bronić swych małych. Na jej widok obudziło się w nim pożądanie mocne i gorące. Gdyby mu było wolno, kochałby się z nią natychmiast, na podłodze tu, w tym pokoju, nie zważając na to, że znajduje się w obcym domu. Chciał poczuć na Sobie jej paznokcie i zęby. Pragnął wbić się całym sobą w jej ciało, wywołać opór i gniew, a potem zmienić go w namiętność.

Szaleństwo, zupełne szaleństwo, myślał, patrząc, jak kroczy ku niemu. Ale jakże podniecające i piękne.

Opanowanie tego szalonego impulsu już poprzednio przyszło mu z trudnością. Teraz, gdy Elizabeth znowu wpadła jak burza do pokoju i zatrzymując się tuż przed nim, mierzyła go wyzywającym spojrzeniem, ogarnęło go tak intensywne pożądanie, że z obawą pomyślał o kontaktach z nią w najbliższej przyszłości. Będzie mu trudno trzymać się od niej z daleka.

- No dobrze, no dobrze, ty nędzny draniu - wyrzuciła z siebie z wściekłością. - Mów, jakie są twoje warunki.

O tak, to była taka Elizabeth, jakiej pragnął, myślał Lyon patrząc na nią z aprobatą. Nie jakieś potulne, błagające stworzenie ani nawet ta słodka dziewczyna sprzed dziesięciu lat, lecz wspaniała istota, dumnie wyprostowana, z oczami płonącymi wyzwaniem.

- Nędzny draniu? - powtórzył Lyon przeciągle,

z trudem kryjąc zadowolenie. - Czy to jest właściwy sposób zwracania się do ojca twojego dziecka?

- Skończ z tym, Cantrell - warknęła Elizabeth.
- Jakie są warunki tego szantażu, który masz czelność nazwać umową?

- Takie jak mówiłem - powiedział nie wzruszony jej agresywnym tonem. - Zamieszkaj ze mną wraz z Mitchem.

- W jakim charakterze? - odparowała Elizabeth.
- Jako twoja nałożnica?

Lyon zamarł. Zacisnął szczęki i dłonie zwinął w pięści.

- Nie - zaprzeczył ostro, choć przyznawał w duchu, że jej pytanie było uzasadnione. - Jako matka naszego syna.

Pogardliwy uśmiech pojawił się na ustach Elizabeth.

- Na jak długo... Na parę tygodni?... Czy miesięcy?
Obrzucił jej postać przeciągłym spojrzeniem. Ile czasu potrzeba, żeby ją zdobyć?

- Tego jeszcze nie zdecydowałem - odparł zdziwiony własnym spokojnym głosem. - Poczekam i zobaczę, jak się różne rzeczy ułożą.

- Rzeczy? - szydziła Elizabeth.

- Tak, rzeczy - powtórzył, jeszcze raz obrzucając ją palącym spojrzeniem.

Elizabeth najwyraźniej była coraz bardziej zła.

Lyon - coraz bardziej roznamietniony, ale miał nadzieję, że tego nie widać.

- A czy już zaplanowałeś, kiedy ma się rozpocząć ta zabawa w dom?

- Dzisiaj.

- Dzisiaj? - zawołała Elizabeth. - Straciłeś rozum? Właśnie się pakowałam, żeby wracać do domu, kiedy się tu pojawiłeś.

- W takim razie możesz się przenieść razem z rzeczami stąd wprost do mnie.

- Nie mogę tego zrobić! - krzyknęła gwałtownie.

- Mam własne mieszkanie pełne mebli i swoją pracę. Pojutrze mam odbyć lot z portu lotniczego w Filadelfii.

- Zajmę się tym. - Machnął ręką, jakby to były drobnostki, którymi nie warto się przejmować.

- Ty się tym zajmiesz? - Elizabeth popatrzyła na niego zaskoczona. - Jeśli myślisz, że pozwolę twoim fagasom grzebać w moich rzeczach, to chyba upadłeś na głowę.

- Zaczynasz się powtarzać - powiedział zniecierpliwiony. - Ale żeby cię uspokoić, powiem, że wynajęłbym firmę zawodowo zajmującą się przeprowadzkami i ona opróżniłaby twoje mieszkanie, a nie moje „fagasy” - skrzywił się, wymawiając to słowo. - Jeśli zaś chodzi o twoją posadę - znowu wzruszył ramionami - osobiście załatwię ci zwolnienie.

- Nie, nie załatwisz - powiedziała stanowczo Elizabeth. - Nie zrezygnuję ze swojej kariery, żeby zostać etatową... jakąś tam. Sama załatwię wszystko.

- Zgoda, proszę bardzo.

Lyon zauważył błysk zdziwienia w jej oczach, a potem postawił warunek.

- Ale zostawisz Mitcha u mnie.

- Muszę zostawić Mitcha?

Wydawało się, że Elizabeth zemdleje; ledwie zdołała

wydobyć z siebie głos; oczy miała szeroko otwarte, a w twarzy nie było ani kropli krwi.

Lyon odczuł skurcz serca. Zrobiło mu się niedobrze. Z odrazy do samego siebie. Wmawianie sobie, że zasłużyła na każdą formę zemsty, niewiele pomagało. Ciągłe czuł się fatalnie. Wreszcie podjął decyzję.

- W porządku, niech to diabli wezmą, weź go ze sobą - powiedział, odwracając się, bo czuł, że jeśli nie odejdzie, porwie ją w ramiona. - Daję ci dwa tygodnie, a jeśli wtedy nie przyjedziesz, to ja przyjadę do ciebie.

Zatrzymał się przy drzwiach, aby jeszcze raz spojrzeć na nią.

- I jeszcze coś...

- Co? - wyjąkała Elizabeth z ustami wyschniętymi ze zdenerwowania.

Tłumiąc w sobie odruch litości, Lyon powiedział:

- Kiedy przyjedziesz z Mitchem, chcę, żeby on już wiedział, że jestem jego ojcem.

Lot do Phoenix przebiegł spokojnie, bez zakłóceń, a i powrotny do Filadelfii zapowiadał się dobrze. Wszystko poszło gładko, jak po maśle, zostawiając Elizabeth aż nazbyt dużo czasu na myślenie o prywatnych sprawach.

Musiała w najbliższym czasie wyjaśnić wreszcie Mitchowi, kto jest jego ojcem. Nie brakowało dotąd okazji, żeby to zrobić. Choćby wielogodzinna jazda samochodem, gdy wracali do domu, wystarczyłaby na najdłuższą dyskusję na ten temat. Lecz Elizabeth po prostu nie wiedziała, jak się do tego zabrać, od czego zacząć.

Sytuację ułatwiał fakt, że nigdy nie powiedziała Mitchowi, że jego ojciec nie żyje. Wbrew radom rodziców wyjaśniła mu, jak najdelikatniej, że ich stosunki się rozluźniły, a potem się rozstali, zanim ona zorientowała się, że będzie miała dziecko. Podkreślała też wyraźnie, że gdyby ojciec wiedział o jego istnieniu, kochałby go tak samo jak ona.

Niewinne dziecko, jakim był wtedy Mitch, przyjęło to wyjaśnienie i wierzyło w każde słowo. Ale jak teraz ma mu powiedzieć, że pan Cantrell, z którym zabroniła mu rozmawiać - nie był w istocie kimś obcym, lecz jego ojcem?

Rozmyślała o tym bez końca, starając się znaleźć rozwiązanie dręczącego ją problemu. Ponieważ go jednak nie znalazła, nie poruszała na razie tego tematu. Rozmawiała natomiast z innymi członkami rodziny. Jenny protestowała głośno i gniewnie przeciwko propozycji Lyona. Przez większą część nocy, przed wyjazdem Elizabeth i w czasie ładowania walizek do samochodu, Jenny błagała ją, aby jeszcze raz rozważyła słuszność tego kroku. Radziła jej jeszcze raz porozmawiać z adwokatem i wierzyć, że znajdzie się wyjście z tej sytuacji.

Elizabeth była niezachwiana w swej decyzji.

- Nie mogę ryzykować, że mi zabiorą dziecko
- odpowiadała.

Choć w rozmowach z rodzicami Elizabeth przedstawiła żądania Lyona w znacznie złagodzonej formie, oni również protestowali przeciwko jej planom i radzili poczekać do rozprawy w sądzie.

Odpowiedziała im to samo, co Jenny.

Natomiast jej brat, Chuck, wściekał się podczas

rozmowy telefonicznej, przeklinając i obiecując połączyć Lyonowi kości przy najbliższym spotkaniu.

Elizabeth starała się go uspokoić i opowiedziawszy mu całą sprawę w wersji zbliżonej do tej, którą podała Jenny i rodzicom, zapewniła go, że ani jej, ani Mitchowi nic nie grozi.

Wszystko to jednak odbiło się fatalnie na stanie jej nerwów i samopoczuciu.

Jedynie co zrobiła zgodnie z rozkazem Lyonsa - nie potrafiła o tym myśleć inaczej niż o rozkazie - to zwolnienie się z pracy. Podając jako powód ważne sprawy rodzinne, które musiała załatwić, poprosiła o miesięczny urlop, jak tylko odbędzie lot do Phoenix i z powrotem.

Według inżyniera z obsługi technicznej, lot do Filadelfii powinien zakończyć się zgodnie z rozkładem. Od tego momentu Elizabeth będzie wolna, przynajmniej jeśli chodzi o pracę zawodową, przez cały miesiąc.

Czekało ją wyczerpujące zadanie. Musiała zorganizować przeprowadzkę ze swego mieszkania na przedmieściu Filadelfii do tej kamiennej twierdzy, w której mieszkał Lyon, wysoko, w pobliżu miejsca, gdzie schodziły się granice trzech stanów - Pensylwanii, Nowego Jorku i New Jersey. Musiała też przenieść wszystkie dokumenty Mitcha z dawnej szkoły do nowej - a nie wiedziała, gdzie będzie kontynuował naukę.

Miała nadzieję, że Lyon zgodzi się zapisać Mitcha do tej samej szkoły publicznej, do której ona kiedyś uczęszczała, ale znając Lyonsa...

- Obudź się, Elizabeth.

Surowy głos kapitana wyrwał ją z zamyślenia. Oprzytomniała, poprawiła się w fotelu i spojrzała spod oka na ściągnięte rysy twarzy człowieka, który siedział obok niej przed tablicą przyrządów kontrolnych.

Kapitan Bland. Tyle lotów odbyła, tyle godzin spędziła w powietrzu. Dlaczego właśnie dziś musiał jej przypaść wspólny lot z kapitanem Blandem, pomyślała z westchnieniem.

Kapitan - weteran, mający za sobą ponad dwadzieścia lat pracy na tych liniach - był znany z tego, że nie akceptował dopuszczania kobiet do prowadzenia samolotu.

Uchodził za prawdziwego antyfeministę.

- Czy słyszałaś informację o sile wiatru w Filadelfii? A niech to diabli!

Elizabeth zacisnęła wargi, zebrała się na odwagę i wyznała.

- Nie, panie kapitanie.

- Tak sądziłem - rzekł kapitan z niezadowoloną miną. - Zaraz ją powtórzą, może zechcesz posłuchać.

Elizabeth wysłuchiwała komunikatu. Siła wiatru nie była zbyt wielka. Nieraz latała w takich warunkach atmosferycznych. Ale każdy porywisty i zmienny wiatr mógł być niebezpieczny. Elizabeth nie widziała powodu, aby się niepokoić. Kapitan Bland mógł być surowy i gderliwy, ale miał opinię jednego z najlepszych pilotów na wszystkich liniach.

- Czy chciałabyś przejąć ster przy lądowaniu?

Elizabeth zwróciła oczy na kapitana ze zdumieniem. Ani jego twarz, ani ton głosu nie straciły nic ze

swej surowości, ale w oczach Blanda dostrzegła błysk wyzwania i iskierki uśmiechu, które rozjaśniły jego szare oczy. Temu nie mogła się oprzeć.

- Tak - odparła natychmiast z entuzjazmem.

- Tak, kapitanie.

- A więc, proszę, przejmujesz prowadzenie.

Mówiąc to, powierzył kontrolę nad tym wielkim odrzutowcem jej drobnym dłoniom. Głęboki spokój spłynął na Elizabeth, gdy objęła prowadzenie samolotu. Zapomniała natychmiast o wszystkich kłopotach, o Lyonie, o przeprowadzce, a nawet o Mitchu. Latanie zajmowało drugie miejsce w jej życiu, zaraz za synem i rodziną. Było jej wielką radością.

Precyzyjnie operując przyrządami, zesłała do lądowania, przeszła gładko przez front atmosferyczny i posadziła samolot na pasie startowym.

- Znakomicie, Liz! - wykrzyknął kapitan, gdy koła złapały kontakt z podłożem zminimalnym drgnięciem.

- Sprytna dziewczynka.

Mrugając powiekami ze zdziwienia, Elizabeth zerknęła na niego i zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy zobaczyła, że uśmiecha się do niej szeroko, podnosząc kciuk do góry.

Pomyślała sobie, że już nigdy nie nazwie go anty-feministą.

Gdy trochę później wychodziła z lotniska, szła lekkim, sprężystym krokiem, jak wówczas, gdy wróciła z gór. Ten wspaniały nastrój nie mógł jednak trwać długo. Skończył się, gdy odebrała syna od sąsiadki, która opiekowała się nim w czasie podróży służbowych Elizabeth. Znowu stanęła przed nią koniecz-

ność porozmawiania z Mitchem, wyjaśnienia mu sytuacji, a ciągle nie wiedziała, od czego zacząć. Te pytania dręczyły ją w czasie przygotowywania obiadu i wspólnego posiłku.

- Skarbie... chciałabym powiedzieć ci coś... o twoim ojcu - zaczęła wreszcie, gdy sprząтали ze stołu i wkładali naczynia do zmywarki.

- A co z nim jest? - zapytał Mitch z wyraźnym brakiem zainteresowania.

- Chodzi o to... - chrząknęła Elizabeth - że... on... Mitch popatrzył na nią z wyraźnym zaciekawieniem.

- Masz jakiś problem?

Elizabeth spojrzała spod oka na małego potwora, który był jej synem, i rzekła:

- Pamiętasz pana Cantrella?

- Jezu, mamgo, nie jestem małym dzieckiem. Oczywiście, że go pamiętam - mruknął zrzędlwym tonem Mitch. - Wyglądał na pedanta. - Zmarszczył swe chłopięce czoło, przybierając minę dorosłego mężczyzny. - Co on ma wspólnego z nami?

Elizabeth westchnęła znękana. Rzeczywiście, co? Jak mu to powiedzieć? pytała samą siebie, czekając na natchnienie. Mitch pochylił się do przodu i spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy pani tu jeszcze jest, madame? - zapytał, używając formułki, którą wykorzystywał, żartując.

Elizabeth roześmiała się, przypominając sobie początek tej historii.

Było to w czasie Bożego Narodzenia. O wpół do piątej rano poczuła, że Mitch wsunął się po cichu do jej

łóżka, podniósł dwoma palcami jedną z powiek matki i zapytał pieszczotliwie:

- Czy pani tu jest, madame?

- Tak, najdroższy, jestem tu - odparła wtedy Elizabeth i teraz to powtórzyła.

- Mamo?

Elizabeth usłyszała zakłopotanie w jego głosie, bo nie rozumiał, dlaczego nie zaczęła go łaskotać, aby go rozśmieszyć, jak zawsze to robiła.

Jej śmiech zakończył się westchnieniem. Musi mu o wszystkim powiedzieć. Teraz. Skończ z tym nareszcie, Elizabeth, rozkazywała sobie w myśli, miej to już za sobą.

- Pan Cantrell jest twoim prawdziwym ojcem, Mitch.

Wyrzuciła to wreszcie z siebie i zagryzła wargi, czekając na reakcję syna.

- Pan Cantrell? - Mitch skrzywił się zabawnie, podobnie jak wtedy, gdy dowiedział się, że święty Mikołaj nie istnieje. - Jesteś tego pewna?

Tym razem jej śmiech zabrzmiał histerycznie.

- Tak, tak, Mitch, jestem tego całkiem pewna.

- Pan Cantrell, mówisz. - Mitch rozważał tę wiadomość, marszcząc czoło jak dorosły mężczyzna.

Wstrzymując oddech, pełna obaw ze względu i na siebie, i na niego, Elizabeth czekała, co chłopiec powie.

- Pan Cantrell? Aha... W porządku. Całkiem nieźle.

Spokój, z jakim przyjął ten fakt do wiadomości, dosłownie zwałił ją z nóg. Czego oczekiwała? Okrzyków pełnych złości? Łez? Oskarżeń? Tak, chyba tego

wszystkiego, a nawet więcej. „Całkiem nieźle”. Czy ona lub ktokolwiek z rodziców jest w stanie zrozumieć odporność i pogodę ducha dziecka?

- Czy tylko tyle masz do powiedzenia? - zapytała cichym głosem.

- Nn..nie - Mitch poruszył się niepewnie i patrzył w dół, jakby wzór na kafelkach podłogi bardzo jego fascynował.

- Odpowiem na wszystkie twoje pytania, najszybciej jak potrafię, skarbie - powiedziała, głaszcząc go po krótko ostrzyżonych włosach.

Mitch podniósł wzrok na nią i zaraz znów wbił go w podłogę.

- Mamo, czy myślisz, że ... on... To znaczy, czy wiesz... Czy on mnie lubi?

Elizabeth poczuła skurcz serca i gromadzące się łzy pod powiekami. Objęła syna i przytuliła go do siebie.

- Tak, Mitch, lubi cię. Pan Cantrell bardzo, bardzo cię lubi.

- To dobrze, prawda? - Odsunął się od matki, aby spojrzeć jej w oczy. - To chyba dobrze... to znaczy, czy ty jesteś zadowolona, że on mnie lubi?

Elizabeth wyczuła dygotanie jego szczupłego ciała.

- Tak, kochanie, jestem bardzo zadowolona, że ojciec cię lubi.

Usłyszała i poczuła westchnienie ulgi, jakie wydał. Życzyła sobie z całego serca, aby mogła na tym poprzestać, ale, niestety, musiała poinformować go o dalszych zmianach, jakie zajdą w jego życiu.

- Pan Cantrell... to znaczy twój ojciec... polubił cię tak bardzo, że życzy sobie, abyśmy zamieszkali razem z nim.

Zapadła absolutna cisza. Elizabeth wprost nie słyszała oddechu chłopca. Sama też bała się odetchnąć.

- Ojciec chce, żebyśmy zamieszkali razem z nim? - powtórzył w końcu. - To znaczy, jako jedna rodzina?

- Tak - odparła, modląc się w duchu ze względu na niego, a nie na siebie, żeby się to okazało prawdą.

- Miałbym ojca, prawdziwego tatusia? - Drżący głos syna, pełen nadziei, rozdzierał jej serce.

- Tak, Mitch, miałbyś prawdziwego tatusia - obiecała, bo tego mogła być pewna. Lyon wykazywał szczere zainteresowanie i troskę o swego syna. Będzie dla chłopca dobrym ojcem.

- Mieszkalibyśmy tam wysoko, w górach? - Wy-swobodziwszy się z jej objęć, Mitch odsunął się i patrzył badawczo w jej oczy. - Przez cały czas, zimą i latem?

- Tak, przez cały czas, zimą i latem. - Przynajmniej ty, dodała w myśli.

- A czy ty chciałabyś tego? - dopytywał się Mitch. Z tonu jego głosu poznała, że nie ma dla niej alternatywy.

- Jeśli ty się zgodzisz, nie będę miała nic przeciwko temu. - Elizabeth nie uważała za stosowne dodać, że jego ojciec nie zostawił jej wyboru.

Mitch siedział spokojnie przez chwilę, długą chwilę. Elizabeth wydawało się, że widzi gonitwę myśli w jego kształtnej główce. A potem uśmiechnął się w taki sam sposób jak jego ojciec.

- No to dobrze! - krzyknął, podskakując z podniecenia. - Jeśli tak, to jedźmy!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niewiarygodne.

Elizabeth usiłowała przebić wzrokiem zapadającą ciemność, usłyszawszy huk grzmotu.

- Zdaje się, że nadchodzi burza - zauważył Mitch. Siedząc obok niej w samochodzie, chłopiec walczył ze snem i usiłował powstrzymać się od ziewania.

- Chyba tak - powiedziała Elizabeth. - Mam jednak nadzieję, że zdążymy dotrzeć na miejsce, zanim rozpada się na dobre.

- Hmm - mruknął w odpowiedzi Mitch.

- Słucham? - Elizabeth rzuciła szybkie spojrzenie na swego syna i uśmiech złagodził jej ściągnięte troską rysy. Mitch przegrał bitwę ze snem.

Następny niski grzmot zahuczał wśród skłębionych chmur, jeszcze daleki, ale świadczący, że burza zbliża się coraz bardziej.

To niewiarygodne, wręcz niesamowite, myślała Elizabeth, że znów wita ją burza, jak wtedy, gdy przyjechała tu po raz pierwszy. Czarne pasmo drogi wiło się między wzgórzami, spowitymi w płaszcz nisko sunących chmur. Elizabeth czuła mrowienie mięśni na karku i ramionach. Wyteżała wzrok, patrząc uważnie przed siebie. Choć było już prawie ciemno, wieczór dopiero się rozpoczął. Ostatni wieczór z tych dwóch

tygodni, które Lyon wyznaczył jej na załatwienie swoich spraw.

On sam pewnie krąży teraz po domu z chmurną miną, pomyślała Elizabeth, unosząc ramiona, aby rozluźnić mięśnie barków i pozbyć się zimnych dreszczy przebiegających po plecach pod wpływem niepokoju.

Ciężarówka z meblami prawdopodobnie dotarła do domu Lyona już dwa dni temu. Ona sama wyruszyła w drogę zaraz po jej odjeździe, powinna więc zjawić się tutaj prawie jednocześnie z wozem meblowym. Elizabeth domyślała się, że Lyon spędził te dwa dni, wypatrując ich i biegając od frontowych okien do ciężkich, dębowych drzwi, przeklinając ją, że tak opóźnia ich przyjazd.

I rzeczywiście, robiła to z całym rozmysłem. Lyon dał jej dwa tygodnie, a ona postanowiła wykorzystać je do końca. Nie była to wielka zemsta, niemniej sprawiła jej pewną satysfakcję.

Błyskawica przecięła niebo nad jej głową, rzucając na szarpane wichrem drzewa niesamowite światło. Elizabeth wzdrygnęła się, ściskając mocniej kierownicę. Czy nigdy nie dotrze do domu swego prześladowcy? To retoryczne pytanie wywołało uśmiech na jej twarzy.

Przedwczoraj, wczoraj, a nawet tego ranka Elizabeth nie miała najłżejszych wyrzutów sumienia, że przedłuży podróż. Wręcz przeciwnie, to przeciąganie do ostatniej chwili przybycia do górskiego domu Lyona sprawiło jej jakąś ponurą przyjemność.

Już w chwili, gdy po raz ostatni zamykała za sobą drzwi swego mieszkania, wiedziała, że nie pojedzie

najkrótszą drogą, podążając za ciężarówką z meblami. Ten pomysł przyszedł jej do głowy, gdy słuchała radiowej reklamy. Zwróciła, mianowicie, uwagę na entuzjizm, z jakim prezenter opowiadał o parku i wesołym miasteczku Shamokin, o którym nigdy przedtem nie słyszała. Park nie leżał wcale na trasie, którą jechała, i trzeba było nadrobić parę kilometrów, aby do niego dojechać, ale cóż...

Elizabeth zachichotała, przypominając sobie zdziwioną minę syna, gdy na pewnym skrzyżowaniu skręciła w prawo, zamiast jechać w dalszym ciągu za ciężarówką.

- Mamo! - wykrzyknął Mitch, oglądając się za siebie - źle jedziesz!

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała beztrosko. - Robimy małą wycieczkę.

- Dokąd?

- Zobaczysz - zapewniła go z uśmiechem. - Zaufaj mi, synku, będziesz zadowolony.

I rzeczywiście, Mitchowi podobało się wszystko w Shamokin. Szalone jazdy na karuzeli, od których kręciło się w głowie, karkołomne zjazdy do basenów i rozbryzgiwanie całych ścian wody, a także krótkie odpoczynki i zakupy w kioskach z żywnością, aby nabrać energii do dalszej zabawy.

Elizabeth zamówiła dla nich pokój w pobliskim motelu na jedną noc, a zostali przez dwie doby. Ciepła, piękna pogoda stanowiła pokusę, której ani ona, ani Mitch nie mogli się oprzeć.

To niesamowite.

Elizabeth pokręciła głową z niedowierzaniem, gdy

następna błyskawica przecięła zygzakiem chmury, a zaraz potem przetoczył się grzmot, już coraz bliższy. Piękna słoneczna pogoda utrzymała się tylko do momentu wyjazdu z motelu, gdy rozpoczynali ostatni etap podróży.

Czyżby miało to być regułą, że zawsze przyjeżdża do tego domu, lub z niego ucieka, w potokach deszczu? Chyba tak, bo wielkie krople rozpoczynającej się ulewy zaczęły bębnić w przednią szybę samochodu, gdy wyjechała na półkolisty podjazd przed domem.

Gdzie ona się, u diabła, podziewa?

Pytanie to nie przestawało dręczyć Lyona od chwili, gdy samochód z rzeczami Elizabeth dotarł na wzgórze, a ona się nie pojawiła. Dał jej dwa tygodnie. Oto właśnie mija czternasty dzień tego wyznaczonego terminu i jest już późne popołudnie. Lyon zżymał się, bliski wybuchu. Obserwując pogarszającą się pogodę, krążył w zdenerwowaniu po całym domu, za każdym razem kończąc te wędrówki przy frontowych oknach lub wyglądając przez drzwi, aby sprawdzić, czy nie nadjeżdżają.

Pusto. Nie widać nikogo.

- Niech ją diabli porwą! Gdzie ona może być?
- wyrzekał marszcząc jasne brwi i obserwując chmury sunące nisko po niebie. Wygląda na to, że za chwilę rozpęta się tu piekło, rozmyślał, jedno na zewnątrz, z deszczem i piorunami, a drugie, wcale nie mniej gwałtowne, w nim samym.

Czyżby Elizabeth zdecydowała ukryć się przed nim po raz drugi? Lyon odwrócił się od okna, ale nie mógł

uciec od myśli, które go opętały. Co by zrobił, gdyby przyszło jej do głowy zastosować taką sztuczkę: wysłać do niego wszystkie rzeczy, a samej uciec, pozbawiając go tym samym czegoś, na czym mu najbardziej zależało, to jest siebie samej i syna?

Chwycił się za włosy, już dostatecznie potargane, i poszedł znów w stronę drzwi. Otworzywszy je, stanął na progu, wpatrując się w zapadającą ciemność i żałując, że jego oczy nie umieją przeniknąć mroku i zobaczyć, co się dzieje za zakrętem drogi.

Błyskawica oślepiającym zygzakiem rozdarła skłębioną masę czarnych chmur. Zapowiadało to groźną burzę, uświadomił sobie Lyon, patrząc na gnące się pod naporem wiatru drzewa, i poczuł, że boi się o Elizabeth.

Niech ta kobieta wreszcie przyjedzie, niech przyjedzie jak najprędzej, bo w przeciwnym razie grozi mu szaleństwo, a potem tropienie jej aż do skutku.

To właściwie śmieszne, ile razy w ciągu minionych dwóch tygodni podchodził do telefonu, cofał się, potem znów się zbliżał, pchany chęcią sprawdzenia, co się z nią dzieje, i rezygnował w obawie, że Elizabeth potraktuje to jako formę nacisku czy kontroli.

Ale powinna być tutaj, już teraz, razem z ich synem, chętna, a przynajmniej gotowa spełnić wszystkie jego żądania.

Niewesoły uśmiech ukazał się na jego ustach. Czy to nie przejaw tupetu z jego strony? Kimże on był, żeby wydawać rozkazy Elizabeth?

Lecz przecież w tym wypadku on był stroną pokrzywdzoną. Czyż nie pozbawiła go możliwości kon-

taktu z synem we wczesnych latach jego rozwoju i obserwacji, jak formuje się jego charakter, jak rośnie, uśmiecha się, wymawia pierwsze słowa, stawia pierwsze kroki?

Czyż nie odebrała mu radości z obserwowania tego wszystkiego? Tak, buntował sam siebie Lyon, widząc, że słabnie jego gniew, ukradła mu te wszystkie bezcenne chwile i dużo więcej. Do pioruna, pomyślał wpatrując się w pusty podjazd przed domem i czując szarpiący ból w piersi. Nawet teraz nie jest pewien, czy chłopiec nazwie go kiedykolwiek tata.

Gdzie ona jest?

Patrzył na szybko mknące burzowe chmury. Nie ma wątpliwości, że za chwilę zacznie się ulewa. Jedna gruba, ciężka kropla rozbiła mu się na czole. Spojrzał na schodki prowadzące do wejścia. Mokra ślady padających kropli tworzyły coraz gęściejszy wzór.

Gdy coraz bardziej zaniepokojony podniósł wzrok, doznał olbrzymiej ulgi, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Na podjazd wjeżdżał samochód. Samochód Elizabeth.

Zakręcił się na pięcie, popędził do ogromnego holu i jednym szarpnięciem otworzył drzwi szafy. Wydostał stamtąd wielki pasiasty parasol, przymocowany do worka golfowego. Wrócił do drzwi i naciśnięciem guzika rozpostarł go nad sobą. Zszedł po schodkach w tym samym momencie, gdy Elizabeth zatrzymała samochód.

Czy jest wściekły?

Elizabeth obserwowała ukradkiem wyraz twarzy Lyona, idącego w ich stronę. Nie potrafiła tego

odgadnąć. Wydawał się spokojny, a rysy twarzy nic nie zdradzały.

Westchnęła.

Zły czy nie, w każdym razie wyszedł na spotkanie, aby ich osłonić przed deszczem. Nie spuszczać z niego oczu, wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia syna.

- Mitch! - zawołała. - Zbudź się, jesteśmy na miejscu. Przyjechaliśmy.

- Co? - wymamrotał chłopiec, układając się w innej pozycji. - Co mówiłaś, mammo?

- Powiedziałam, że jesteśmy w... - głos Elizabeth utonął w ogłuszającym grzmocie, od którego zadrżała ziemia.

- O, jak rany! - rozległ się głos Mitcha. - Ale zagrzmiało!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

- Wsiadajcie - powiedział Lyon, starając się przekrzywić ciągłe grzmoty i świst wichury. - Pojedynczo, proszę. Najpierw ty, Elizabeth. Mitchell, przesunij się na tę stronę i bądź gotów, kiedy przyjdę po ciebie za chwilę.

Nie czekał na odpowiedź ani od niej, ani od syna. Prawie siłą wyciągnął Elizabeth z samochodu i pobiegł z nią do domu, gdzie zostawił ją w holu i wrócił natychmiast po Mitcha.

- Ludzie! - wykrzyknął Mitch, gdy już się znalazł wewnątrz - ale burza!

- Nie najgorsza, co? - odpowiedziała Elizabeth, zdenerwowana, ale starająca się zachowywać normalnie.

- Powiedziałbym, że obłądna - odparł Mitch, patrząc na nich kolejno z szerokim uśmiechem.

- Obłądna, rzeczywiście - zgodził się Lyon, rzucając Elizabeth rozbawione spojrzenie. - A co powiesz o domu? - zapytał, gestem dłoni wskazując wewnątrz holu.

Mitch podążył wzrokiem za jego dłonią i otwierał coraz szerzej oczy.

- Ojejku, ależ to kolos, no nie? - mruknął głosem pełnym podziwu. - Obłądny!

- Tak - zaśmiał się Lyon. - To tylko frontowy przedsionek. Mój ojciec... - zawahał się na ułamek sekundy - twój dziadek lubił wszystko obłądnie duże - dodał suchym tonem. - Poczekaj, aż zobaczysz resztę domu.

- A kiedy zobaczę? - zapytał podnieconym głosem Mitch. - Fiuu! - gwizdnął, patrząc na szerokie schody prowadzące pięknym łukiem na pierwsze piętro. Ruszył w ich stronę, jakby przyciągany magnesem.

- Mitchell-powiedziała Elizabeth tonem ostrzeżenia - poczekaj, aż będziesz...

- Czy mogę w czymś pomóc, Lyon?

Elizabeth odwróciła się zaskoczona, słysząc za sobą przyjemny i jakby znajomy głos. Zobaczyła wysokiego, przystojnego mężczyznę w wieku Lyona. Było w nim coś... Zmarszczyła czoło. Czuła, że go zna, a może powinna znać. Ale skąd?

- O, dobrze, że jesteś - Lyon powitał przybyłego z uśmiechem. - Chodź, przywitaj moich gości.

Gdy młody człowiek podszedł do nich, Lyon dodał:

- Elizabeth, może pamiętasz Hunta Canona. On i twój brat przyjaźnili się kiedyś.

- Tak, oczywiście - rzekła Elizabeth, poznając gościa Lyona.- Jak się masz, Hunt.

- Dziękuję, jakoś sobie radzę - odparł, podchodząc do niej. - Co do ciebie, nawet nie muszę pytać, jak ty się masz - powiedział z uśmiechem, zwracając się bardziej do siebie, niż do niej. - Sam widzę, że jesteś piękniejsza, niż to powinno być dozwolone jakiegokolwiek kobiecie.

- Uniósł brwi pytająco, zwracając się w stronę Lyona.
- Czy nie mam racji?

- Ty zawsze masz rację - powiedział przeciągle Lyon, uśmiechając się porozumiewawczo, jakby to był ich prywatny żart, co trochę speszyło Elizabeth. Przeniósł spojrzenie na Mitcha, który stał u podnóża schodów. - A to jest...

- Twój syn - dokończył Hunt i jego nieco cyniczny wyraz twarzy złagodniał, gdy patrzył na chłopca z sympatią.

- Tak, mój syn, Mitchell - powtórzył Lyon mocnym głosem. - Ale myślę, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś go nazywał Mitch, zgadza się, synku?

Mitch wydawał się zdezorientowany przez moment, ale potem szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy.

- Zgadza się... tato.

Elizabeth starała się przełknąć coś, co utknęło jej w gardle, ale bez powodzenia. Wzruszenie było zbyt wielkie.

- Czy ciągle mieszkasz w tej okolicy, Hunt? - spytała, odchrząknąwszy z trudem i próbując zmienić temat.

- Można by tak to określić - odparł z uśmiechem, który mógł urzec każdego swym ciepłem. Wyciągnął

do niej rękę. - Pracuję teraz dla Lyona i mam nadzieję, że... będzie ci tu dobrze. - Rzucił jej spojrzenie pełne zrozumienia. - Jeślibyś potrzebowała czegokolwiek, nie omieszkaj zwrócić się do mnie.

Nieoczekiwanie Elizabeth poczuła się lepiej, widząc jego pełne życzliwości spojrzenie.

- Dzięki ci, Hunt - szepnęła, wyciągając do niego rękę.- Bardzo sobie cenię tę propozycję.

Obdarzył ją jeszcze jednym czarującym uśmiechem i zwrócił się do jej syna, również podając mu rękę.

- Mitch, mam przeczucie, że zostaniemy wielkimi przyjaciółmi. Jak ci się wydaje?

Mitch, przyjaciel całego świata, szczerzy i wesoły, roześmiał się i klepnął z rozmachem w wyciągniętą dłoń.

- Mnie się wydaje, że chętnie bym coś zjadł.

- Mitchell! - wykrzyknęła z oburzeniem Elizabeth, wchodząc w rolę wzorowej matki, jaką zawsze starała się być. - Nie bądź zuchwały!

- To nie jest zuchwałość, wcale nie - poparł chłopca Lyon ze śmiechem, rozładowując w ten sposób sytuację. - Przyjechał do domu, jest głodny, a...

- A mamy w domu pizzę domowej roboty - wtrącił znowu Hunt, wyręczając swego pracodawcę.

- Sam ją zrobiłeś? - Mitch otworzył szeroko oczy, patrząc na niego z szacunkiem. Każdy, kto potrafił upiec pizzę, miał u niego wysokie notowania. - Zupełnie sam?

Hunt powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

- Zupełnie sam - oświadczył uroczyście. - Człowiek dochodzi do wprawy, kiedy ma w domu młodsze

i bardzo wymagające rodzeństwo. Nauczę cię, jak się to robi, jeśli będziesz chciał.

- Pewnie, że będę chciał! - wrzasnął Mitch, wieszając się na poręczy schodów. - Chodźmy!

- Najpierw musisz się umyć, młody człowieku - zarządziła Elizabeth, patrząc bezradnie na obu mężczyzn, którzy z jednakową sympatią i podziwem przyglądali się chłopcu.

Nuta zmęczenia, która zabrzmiała w jej głosie, skłoniła ich do podjęcia akcji. Lyon, biorąc ją za ramię i kierując się w stronę schodów, rzekł do Mitcha:

- Pokażę wam najpierw wasze pokoje. - Objął chłopca ramieniem. - Poczekaj, aż zobaczysz swój pokój, Mitch.

Gdy zaczęli wchodzić na schody, Elizabeth zatrzymała się nagle.

- Walizka - powiedziała. - Zostawiłam w samochodzie walizkę.

- Zaraz ją przyniosę - ofiarował się Hunt, idąc do wyjścia. Przystanął na chwilę i zapewnił Mitcha: - Potem przyjdę po ciebie i pokażę ci, jak wygląda doskonała pizza. Zgadzasz się?

- Oczywiście! - zawołał Mitch, podskakując z radości i wbiegając pędem na schody.

Gdy doszli do szerokiego podestu na końcu schodów, Lyon poprowadził ich przez szeroki hol, a potem skrzył w lewo, w następny korytarz.

- Twój pokój, Mitch, jest w tej części.

- Jejku, tu się można naprawdę zgubić - zauważył Mitch, rozglądając się wokół z wyraźnym zainteresowaniem.

- Szybko się przyzwyczaisz - odparł Lyon, zatrzymując się przed drzwiami w połowie korytarza. Potem z dłonią na klamce odwrócił się i dodał konspiracyjnym szeptem: - Zresztą, może pewnego dnia będziesz wolał się zgubić. Na przykład, gdy mama będzie w złym humorze.

- O, właśnie - odparł tym samym tonem Mitch.
- Albo kiedy będzie mnie chciała zapędzić do lekcji.

- No widzisz - skinął głową Lyon.

Elizabeth ogarniała na zmianę uczucia rozbawienia i gniewu. Szczerze się cieszyła, że jej syn według wszelkiego prawdopodobieństwa znalazł ojca, i to takiego, jakiego bardzo pragnął. Jeżeli zaś chodziło o nią...

- Elizabeth?-Lyon wyrwał ją z zamyślenia. - Czy nie chcesz zobaczyć pokoju Mitcha?

Zamrugła powiekami i dopiero teraz zauważyła, że drzwi są otwarte, a Mitch, stojący na progu, ma na twarzy wyraz zachwytu i zaskoczenia. Elizabeth stanęła za nim i zajrzała do wnętrza.

Pokój stanowił ucieleśnienie marzeń każdego chłopca. Utrzymany w różnych odcieniach brązu i zieleni, w kolorach przypominających tradycyjne wojskowe barwy ochronne, z jaśniejszymi plamami beżu i bieli, był wspaniale urządzone. Wszystko tu było porządnie poukładane, jednak, po pobieżnych oględzinach półek i szaf, Elizabeth odkryła nowe znaczenie słowa „wszystko”.

Rzeczy Mitcha, które przywieziono wcześniej, były tu razem z całą furą nowych - począwszy od zabawek i ekwipunku sportowego do najnowszego, wspaniałe-

go komputera, zajmującego honorowe miejsce na biurku.

Każdy chłopiec zatańczyłby na ten widok z radości; nic dziwnego, że zrobił to również Mitch, podskakując i biegając po całym pokoju. Dopadał coraz to jakiegoś nowego skarbu, klaskał w ręce z uciechy, kręcił się jak szalony. W tym momencie nadszedł Hunt.

- No i co, kolego - zapytał oddając walizkę Elizabeth Lyonowi - podoba ci się twój pokój?

- Bajkowy! Super! - wykrzyknął Mitch i podbiegł do niego, chwytając go za rękę. - Chodź, musisz to obejrzeć. Wszystko jest pierwszorzędne!

- Bardzo chętnie to obejrzę - śmiał się Hunt - ale nie wiem jak ty, bo ja jestem strasznie głodny. Czy jesteś gotów spróbować tej pizzy?

Mitch wykonał szybki zwrot do tyłu i pobiegł w stronę drzwi.

- W porządku. Idziemy!

- Mitchell, umyj ręce - powiedziała Elizabeth, rzucając mu surowe spojrzenie.

- Och, dobrze - mruknął z rezygnacją i posłusznie poszedł do łazienki, przylegającej do jego pokoju. Wypadł z niej pół minuty później z wilgotnymi rękami, które wyciągnął w stronę matki.

- Już są czyste - oznajmił, kierując się do drzwi - Idziesz z nami, mamo?

- Chciałbym teraz pokazać twojej mamie jej pokój, synku - odparł za nią Lyon i uśmiechnął się do chłopca. - Zejdziemy za chwilę.

- Nie musisz się spieszyć - powiedział przeciągle Hunt. - To jest bardzo duża pizza.

Nastąpił moment niezręcznej ciszy, a potem Lyon skłonił się przed Elizabeth.

- Ty pierwsza - powiedział podejrzenie miłym głosem.

Obserwując go z niepokojem, Elizabeth wyszła z pokoju, lecz w korytarzu przystanęła niezdecydowana.

- To tam, skąd przyszliśmy - poinformował ją Lyon. - Trzeci pokój za schodami, w prawo.

Elizabeth wolnym krokiem wróciła drogą, którą szli poprzednio, aż wreszcie zatrzymała się przed solidnymi, drewnianymi drzwiami. Stała z opuszczonymi ramionami w pozie świadczącej o bezradności.

- Nic ci nie grozi - odezwał się Lyon oschłym tonem. - Nie ma tu pułapek, zapadni ani niczego w tym rodzaju.

Elizabeth nie była w stanie ocenić ani jego dowcipów, ani humorystycznej strony tej sytuacji. Zrobiła dwa kroki sztywno i bez uśmiechu, lecz po wejściu do pokoju z trudem opanowała się, aby nie okazać zdziwienia i zachwytu.

Pokój był piękny. Utrzymany w ciepłych, stonowanych barwach, od ciemnomalinowej do jasnofioletowej, z kremowymi akcentami. Meble antyczne, ciężkie, ale wytworne, lśniły od częstego polerowania i troskliwej konserwacji. Osobiste drobiazgi Elizabeth, szczotki do włosów, lusterko ręczne i kasetki na biżuterię poukładano na komodzie pod lustrem. Instynkt podpowiadał jej, że bielizna znajduje się równo ułożona w szufladach komody, a ubrania wiszą w szafie.

Ale to nie był jej pokój, to był pokój Lyonsa.

Od początku nie miała złudzeń co do tego. Orientowała się dokładnie, czego od niej oczekiwał, gdy tylko wystąpił z tą zaskakującą propozycją. Nie musiał wyjaśniać, że słowa „zamieszkać ze mną wraz z Mitchem” znaczą to samo, co „przywieź Mitcha i sypiaj ze mną”.

Spędziła czternaście długich dni i bezsennych nocy, dręczona wściekle podniecającymi i jednocześnie upokarzającymi wspomnieniami swojego uległego, wręcz spontanicznego, udziału w dramacie, który się rozegrał na podłodze przed kominkiem w bibliotece Lyonsa.

Tak, Elizabeth wiedziała, czego ma oczekiwać, a nawet pogodziła się z losem. A przynajmniej tak jej się zdawało. Ale teraz, znalazłszy się w miejscu, które miało być świadkiem jej upadku i degradacji, zaparła się nogami dosłownie i w przenośni.

- Nie będę z tobą spała, Lyon - powiedziała ze ściśniętym gardłem i łamiącym się głosem, ale zdecydowanie.

- Zgodziłaś się. - Lyon mówił spokojnie, lecz stanowczo.

Elizabeth starała się opanować drżenie, jakim przejmowała ją obecność Lyonsa. Stał tuż za nią, czuła jego ciepły oddech na karku. Zapach wody kolońskiej, jakiej używał, drażnił jej zmysły. Ciepło bijące z jego ciała i sama bliskość tego mężczyzny odbierały jej siły. Opanowała się z trudem.

- Zgodziłam się tu zamieszkać, żeby nie rozstawać się z Mitchellem - powiedziała, z wysiłkiem prostując

palce, które mimowolnie zaciskały się w pięści. - Nie było mowy o spaniu w jednym łóżku.

- Elizabeth, bądź rozsądna... - zaczął.

- Nie! - krzyknęła, odwracając się gwałtownie, aby mu spojrzeć w twarz. - Nie będę więcej wysłuchiwać żadnych pogroźek.

Po wielu tygodniach narastającego nerwowego napięcia, Elizabeth doszła do kresu wytrzymałości. Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa, zrezygnowała z udawania spokoju, którego nie czuła.

- Jestem tu i zostanę tak długo, jak tylko zechcesz.

Oddychała z trudem, nierówno, mówiła ochryplym z rozpaczy głosem.

- Elizabeth, ty płaczesz!

- Nie, wcale nie - zaperzyła się, choć nie mogła powstrzymać łkania.

Walizka wypadła Lyonowi z ręki i z głuchym łoskotem wylądowała na miękkim dywanie.

- Uspokój się - powiedział błagalnym tonem, na który jednak Elizabeth nie zwróciła uwagi. - Cała się trzęsiesz, wpadniesz w histerię - ciągnął i uniósł ręce, aby ją przytrzymać za ramiona.

- Nie, nie dotykaj mnie! - zaprotestowała i potrząsając głową w gwałtownym proteście, cofnęła się o krok, aby uniknąć zetknięcia z nim. Dłonią otarła łzy, które strugą płynęły po jej policzkach. - Aby pozostać z Mitchem, zgodziłam się tu przyjechać i nawet jestem gotowa występować w roli twojej przyjaciółki i towarzyski życia, jeśli sobie tego życzysz, ale nie będę twoją...

- Nie waż się wymawiać tego słowa! - warknął,

wpychając ręce głęboko do kieszeni, jakby się bał, że zrobi coś gwałtownego i nierozsądnego.

- Poza tym nie chcę zrezygnować z mojej posady i kariery - mówiła głosem przerywanym przez łzy.

- Nie żądałem od ciebie...

- Nie skończyłam jeszcze - przerwała mu, nie chcąc go nawet słuchać. - Ponieważ nie dałeś mi możliwości wyboru, więc zostanę. Ale nie zamierzam dogadzać wszystkim twoim zachciankom. I z całą pewnością nie będę z tobą spała.

Prostując się dumnie, dodała:

- Możesz się zgodzić albo nie. Lub możesz iść do diabła.

- Zgadzam się.

Cichy głos, jakim wypowiedział to zdanie, wytrącił jej broń z ręki. Z pierśią wznoszącą się od tłumionych westchnień, z oczami zamglonymi przez łzy, Elizabeth utkwiała w nim wzrok, oszołomiona. Co to za nowy podstęp z jego strony? - zastanawiała się, ocierając łzy trzęsącymi się dłońmi.

- Powiedziałem, że się zgadzam - powtórzył Lyon.

- Słyszałam.

- Ale mi nie wierzysz - domyślił się. - Nie wierzysz mi, prawda?

- Nie - przyznała szeptem.

- Nie, oczywiście, że nie. - Westchnął głęboko, jakby to on doświadczył przykrych, upokarzających przeżyć. - Sądzę, że nie mam prawa potępiać cię za to. Nie dałem ci wiele powodów do ufania mi - powiedział z gorzkim uśmiechem.

- Nie - zgodziła się Elizabeth, podkreślając swą

nieufność baczny spojrzeniem. - W gruncie rzeczy twoje metody dały wręcz odwrotny skutek.

- Racja - Lyon wsunął palce w swoje przydługie włosy. - Słuchaj, musimy o tym porozmawiać, uzgodnić rodzaj naszych stosunków, lecz...

- Nie będzie żadnych stosunków między nami
- przerwała mu Elizabeth.

- Przestań, Elizabeth. Zastanów się - odparł Lyon.
- Ten dom będzie naszym wspólnym domem, a co ważniejsze, Mitch jest naszym synem. W tych warunkach, musisz to chyba zrozumieć, trzeba zacząć od uzgodnienia charakteru łączących nas stosunków. Jeśli tego nie zrobimy, możemy unieszczęśliwić Mitchella.

Elizabeth broniła się przed przyznaniem mu racji. Miała ochotę wrzeszczeć, krzyczeć i oskarżać go. Ufać mu? Nigdy.

Chciała rzucić mu w twarz, z całą goryczą, jaka zebrała się w niej w ciągu dziesięciu lat, okrucieństwo, z jakim odepchnął ją i ich mające narodzić się dziecko oraz upokorzenie, jakie zniosła, przyjmując od niego pieniądze.

Chciała zrobić to wszystko i już otworzyła usta, aby obrzucić go tymi oskarżeniami, ale wydała jedynie westchnienie świadczące o rezygnacji.

Co to da po tylu latach? Wylanie na niego całej złości w tej chwili nic nie pomoże ani nie zmieni ich położenia.

Tym długim westchnieniem oznajmiła, że poddaje się, uznając, że ważniejsze są inne względy. Jej uczucia były ważne, ale choć miała powód do rozgoryczenia, rozumiała również, jaką krzywdę mogą wyrządzić swemu synowi, niewinnemu świadkowi ich walki.

Elizabeth uznała, że nie może tego zrobić, gdyż nie chce być tą, która zgasi w jasnych, błyszczących oczach syna nowo odkrytą radość.

- Elizabeth? - Głos Lyona zdradzał zniecierpliwienie, z jakim czekał na jej odpowiedź. - Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

Pokonana, lecz dumnie wyprostowana odpowiedziała:

- Tak, rozumiem.

Lyon, który z zapartym tchem czekał na jej odpowiedź, mógł wreszcie odetchnąć z ulgą.

- Doskonale - rzekł, wracając do rzeczowego, beznamiętnego tonu. - A więc załatwmy, co trzeba, kolejno. Najpierw trzeba gdzieś cię umieścić, a potem stworzyć wspólny front wobec Mitcha. - Spojrzał na nią kątem oka. - Zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała. - Gdzie mnie ulokujesz?

Lyon podniósł walizkę z podłogi i gestem dłoni nakazał, aby wyszła razem z nim na korytarz.

- Możesz sama wybrać sobie pokój - rzekł. - Jest szesnaście sypialni w tej stodole.

- Szesnaście! - wykrzyknęła Elizabeth, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. - Mam nadzieję, że masz tu więcej ludzi do pomocy. Nie tylko Hunta.

Lyon spojrzał na nią, jakby myślał, że żartuje.

- Oczywiście, że tak. Są cztery kobiety i jeden mężczyzna, który zajmuje się ogrodem. - Lekki uśmiešek wypłynął mu na wargi. - Ale ponieważ lubię intymność, wszyscy oni są pracownikami dochodzącymi. Nikt tu nie mieszka na stałe.

Dreszcz podniecenia przebiegł Elizabeth po ple-

cach. Nawet nie mówiąc o swoich pragnieniach, lecz tylko podkreślając fakt, że będą sami w tym domu, Lyon przypomniał jej te godziny, które spędzili razem w jego bibliotece, sam na sam.

Elizabeth poczuła, że rumieniec oblewa jej policzki, więc pośpiesznie zmieniła temat.

- Czy jest jakiś pokój blisko sypialni Mitcha, który mogłabym zająć?

- Jest kilka - rzekł, kierując się z powrotem do korytarza, którym szli na początku. - Proszę, chodź za mną.

Pokój, do którego ją wprowadził, znajdował się prawie naprzeciwko pokoju przeznaczanego dla Mitcha.

- Odpowiada ci? - zapytał, czekając na jej reakcję.

Nie zrobiła mu tej przyjemności, aby okazać zachwyty. Przeciwnie, z nieruchomą twarzą, nie wyrażającą żadnych uczuć, rozglądała się wokół. Ponieważ pokój był dwukrotnie większy od jej własnego i miał osobną łazienkę, nie mógł się nie nadawać.

Nie był tak wielki ani tak wspaniale wyposażony jak apartament małżeński, zajmowany przez Lyona, lecz nie przeszkadzało jej to wcale. Ważne było, że nie musiała go dzielić z panem tego domu.

Obejrawszy pobieżnie swoją nową kwaterę, Elizabeth zwróciła się do Lyona.

- Odpowiada mi - rzekła bezbarwnym głosem.

- A teraz, jeśli pozwolisz... - uniosła brwi do góry

- chciałabym się odświeżyć.

Lyon odpowiedział jej równie chłodnym spojrzeniem.

- To mi nie przeszkadza. Tam jest łazienka.

Tym razem Elizabeth pozwoliła sobie na komentarz.

- Czy mi się zdaje, że mówiłeś coś o tym, jak sobie cenisz prywatność?

- Tak - odpowiedział z niewinną miną. - Dlaczego o tym wspominasz?

- Bo ja też lubię być sama. A więc proszę, abys łaskawie wyszedł z mojego pokoju.

Na pięknie wykrojonych ustach Lyona pojawił się nieoczekiwane uśmiech, który sprawił, że Elizabeth poczuła się nieswojo.

- Czego się obawiasz? - zapytał cicho Lyon.
- Mnie? Czy może siebie?

Czując, że wpada w pułapkę zastawioną przez niego, ale i przez swoje własne pragnienia, Elizabeth uśmiechnęła się szeroko, szukając w myśli odpowiednio jadowitej riposty.

- Ależ oczywiście, że siebie - powiedziała słodko. Wyczekała chwilę, aż na jego twarzy ukazał się pełen satysfakcji uśmieszek, i wtedy dokończyła: - Nie chciałabym ryzykować, że zamorduję cię, zanim Mitch skończy jeść pizzę.

Na twarzy Lyona odmalowało się kompletne zaskoczenie, a potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Ciągle jeszcze się śmiał, gdy opuszczał pokój.

- Punkt dla ciebie, Elizabeth - zawołał, wyraźnie rozbawiony. - Tę rundę wygrałaś. Poczekam na ciebie w holu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pizza została zjedzona. Hunt dawno odjechał do domu. Mitch spał w swoim pokoju. Elizabeth siedziała w bibliotece, skulona w rogu miękkiej skórzanej kanapy.

Z dłońmi ciasno splecionymi, aby ukryć ich drżenie, czekała, aż Lyon poruszy temat ich wzajemnych stosunków.

- Zanosi się na to, że rozpuścisz Mitcha w krótkim czasie - wyrzuciła wreszcie z siebie, niezdolna znieść dłużej tej ciszy, i dodatkowo poirytowana od momentu, gdy Lyon podarował chłopcu luksusowy, czarno-srebrny rower, zaskarbiwszy sobie tym samym trwałe miejsce w sercu syna.

Siedząc wygodnie rozparty w skórzanym fotelu, Lyon popatrzył na nią z ironią.

- No to co? - zapytał prowokująco. - Muszę nadrobić dziewięć lat. - Zaciśnął mocno usta. - Dziewięć lat, które ty mi odebrałaś.

- Ja?! Ja? - krzyknęła Elizabeth, prostując się. - Jak śmiesz mnie oskarżać? Jak śmiesz?

- Śmiej? - odparował z gniewem Lyon. - Jak ja śmiej? Chyba żartujesz? To ty odebrałaś mi ojcowskie prawa do mego własnego syna.

- Prawa? Prawa! - zawołała Elizabeth. - A więc znowu wracamy do tego tematu, tak?

Trzęsa się cała w poczuciu krzywdy. Miotła nią furia.

- To ty rozpocząłeś walkę o odebranie mi prawa do opieki nad nim. To ty gotów jesteś posunąć się do szantażu. Nie mów mi o prawach. Według mnie, ty nie masz żadnych praw do tego dziecka.

Lyon już nie siedział wygodnie rozparty w fotelu. Zerwał się z niego jak oparzony i stanął nad nią z twarzą ściągniętą gniewem. Jego szafirowe oczy płonęły.

- Musiałem chyba postradać zmysły, żeby ci zaproponować coś poza tym, na co zasłużyłaś - warknął.

- Czy nie potrafisz żyć bez kłamstwa i podstępów? Jakim prawem uciekłaś ode mnie dziesięć lat temu, pozbawiając mnie mego własnego dziecka?

- Uciekłam?! - powtórzyła Elizabeth zaskoczona jego tupetem. - Ty... łajdaku! To ty mnie wypędziłeś!

Jej atak pozwolił mu na opanowanie wzburzenia, a Elizabeth w tym czasie zerwała się z kanapy i zmusiła go do cofnięcia się, napierając na niego falującą piersią i mierząc go pełnym oburzenia wzrokiem.

- Wypędziłem cię? Jak? - szydził Lyon. - Czy tym, że kochałem cię bardziej niż swoje życie?

- Kochałeś mnie? - Elizabeth roześmiała się szyderczo. - O tak, z pewnością. Kochałeś mnie tak bardzo, że poślubiłeś inną kobietę.

Lyon zamrugał powiekami.

- A co moje małżeństwo ma z tym wspólnego? Ożeniłem się kilka lat po tym, jak mnie opuściłaś.

- Ale ożeniłeś się z Leslie Broadworth - upierała się Elizabeth. - Czyż nie tak?

- Tak, ożeniłem się z Leslie. I co z tego? - zapytał Lyon, potrząsając głową. - Byliśmy przyjaciółmi z dzieciństwa, zgadzaliśmy się ze sobą. Wmówiłem sobie, że przyjaźń i zgodność poglądów wystarczą. Okazało się, że się myliłem.

- Nie w tym jednym przypadku - zakpiła.

- To znaczy? - dopytywał się, patrząc na nią zwięzonymi oczyma.

- Och, daj spokój, Lyon - powiedziała Elizabeth z gniewem. - Byłam wtedy bardzo młoda i naiwna, ale nie byłam głupia. I byłam obecna przy tym, gdy twój ojciec przyszedł do naszego domu z czekiem w rękę.

- Mój ojciec? Z czekiem? O czym ty, u diabła, mówisz? - zawołał Lyon. - Mój ojciec nie żyje.

- Ale wtedy, dziesięć lat temu, żył. - Elizabeth czuła, że traci panowanie nad sobą, ale już jej to nie obchodziło. - Był nawet bardzo żywy i bardzo pewny siły swoich pieniędzy. Bardzo współczujący i bardzo... obrzydliwy.

- Ty dziwko! - Lyon zacisnął pięści, ale zreflektował się i cofnął się o krok, aby odejść od niej jak najdalej. - Ośmielasz się szkalować mojego ojca, oczerniać jego imię, gdy nie może się bronić?! Czy nie będzie końca twoim kłamstwom?

- Ośmielałam się? Kłamieję? Znowu to samo?! - zachnęła się Elizabeth, wyprowadzona z równowagi i nie licząca się już z niczym. - Jeśli chcesz dyskutować o kłamstwach i podstępach, to posłuchaj, co ci powiem!

Płakała teraz, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Rozgorączkowana, podnosząc coraz bardziej głos

z emocji, rzucała mu w twarz wszystkie szczegóły tego poniżającego odepchnięcia jej, raniąc go, jak tylko mogła, słowami wypowiedzianymi z gniewem i furją z głębi swego zbolełego serca. Była tak zdenerwowana, że nie spostrzegła, że Lyon błednie, a w jego oczach pojawia się groza.

- Niemożliwe! - Wyrzekł te słowa ledwie słyszalnym głosem.

- To prawda - zawołała Elizabeth, czując olbrzymie wyczerpanie, ale i ulgę, że w końcu rzuciła mu w twarz oskarżenie.

- O tak, pieniędzy wystarczyło na wszystko - szydziła. - Na opłacenie szpitala po urodzeniu Mitcha, na moją naukę pilotażu przez rok. Ale nienawidziłam ich, każdego wstrętnego, upokarzającego dolara.

- Elizabeth - Lyon zrobił krok do przodu, wyciągając do niej trzęsące się ręce. - Ja nie mogę uwierzyć... Nie wiedziałem... Mój ojciec nie mógł...

Elizabeth nie słuchała, nie rozumiała i nie chciała zrozumieć, co Lyon próbował jej powiedzieć. Odchyliła się, aby uniknąć zetknięcia się z jego rękami, i cofnęła o krok.

- Nie, nie - powtarzała, idąc do drzwi. - Nie dotykaj mnie. Nie waż się mnie dotknąć.

- Elizabeth, poczekaj!

Zatrzymała się w progu i spojrzała na niego.

- Jestem zmęczona - rzekła, nie zauważając wyrazu oszołomienia na jego twarzy. - Obawiam się, że naszą dyskusję na temat wzajemnych stosunków będziemy musieli odłożyć do jutra.'

Czując się bezgranicznie wyczerpana, wybiegła

z pokoju, zastanawiając się półprzytomnie, czy zawsze będzie uciekać w panice z tego pokoju i od Lyona.

Gdy obudziła się następnego ranka po niespokojnej nocy, na niebie nie było jednej chmurki, a słońce świeciło pełnym blaskiem.

Głowa bolała ją potwornie, ale zanim zwlokła się z łóżka, wykapała i włożyła na siebie ubranie, ból zmniejszył się do mało dokuczliwego ćmienia. Jednak czuła potrzebę orzeźwienia się mocną kawą z dodatkiem aspiryny. Wyszła więc na korytarz, aby pójść do kuchni, lecz najpierw zajrzała do pokoju syna.

W gruncie rzeczy nie spodziewała się, aby Mitch o tej porze przebywał jeszcze w sypialni, ale dla sprawdzenia otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Nie było go. Prawdopodobnie biegał już po ogrodzie, korzystając z pięknej pogody tego późnego lata. Ruszyła w kierunku schodów, zdecydowana odnaleźć kuchnię w tym ponurym gmaszysku, który Lyon nazywał domem.

Lyon.

Na myśl o nim przebiegł ją dreszcz, a z ust wyrwało się westchnienie. Będzie musiała spotkać się z nim wcześniej czy później. Równie dobrze może to być już teraz.

Zamiast niego spotkała Hunta, który czekał na nią w holu.

- Dzień dobry - zawołał z uśmiechem, podchodząc do niej. - Zostałem wysłany jako jednoosobowy komitet powitalny - rzekł.

- Tak? - zdziwiła się Elizabeth, dokładając starań, aby jej głos brzmiał naturalnie i obojętnie. - Dlaczego?

Uśmiech Hunta był pełen zrozumienia.

- Lyon wyjechał. Miał coś ważnego do załatwienia.

- Rozumiem - powiedziała Elizabeth, doznając dziwnego uczucia zawodu i czegoś na kształt żalu.

- Pewnie jesteś głodna.

- Nie bardzo, ale chciałabym się napić kawy - odparła zadowolona, że oderwie ją to od zastanawiania się nad własną reakcją na wieść o wyjeździe Lyona.

- Zaraz cię nią poczęstuję - obiecał Hunt, biorąc Elizabeth za rękę i prowadząc przez hol do jadalni. - Kiedy skończysz - powiedział, nalewając jej kawy do filiżanki z dużego srebrnego dzbanka stojącego na pięknym, stylowym bufecie - przedstawię ci służbę i oprowadzę po całym terenie.

- Dziękuję - odparła Elizabeth - za kawę i za zyczliwość. Co się dzieje z Mitchem?

Hunt roześmiał się.

- Jeździ na rowerze przed domem wokół podjazdu. Jest tam całkiem bezpieczny.

Kiedy tylko Elizabeth oznajmiła, że nie ma już ochoty na kawę, Hunt zgodnie z obietnicą zapoznał ją z miłą, starszą panią, która pełniła obowiązki kucharki i zarządzała domem, oraz z trzema młodymi kobietami, odpowiedzialnymi za utrzymanie domu w porządku i czystości. Na koniec przedstawił jej ogrodnika, tęgiego mężczyznę w sile wieku.

Sam dom był rzeczywiście imponujący, z szesnastoma sypialniami, dziesięcioma łazienkami, kuchnią i sporą liczbą pokoi o różnym przeznaczeniu, w tym z dwiema jadalniami, codzienną i bankietową, bawialnią i salonem, biblioteką, a nawet biurem, kompletnie

wyposażonym w nowoczesny sprzęt komputerowy, pozwalający Lyonowi na kierowanie stąd swym olbrzymim przedsiębiorstwem.

- Można by się tu zgubić - zauważyła sucho Elizabeth, gdy po obejrzeniu całego domu szli zaczerpnąć powietrza przed domem i zobaczyć, co robi Mitch.

- Tak, wiem - zgodził się Hunt.

- A dlaczego ty tu jesteś? - zapytała bez ogródek.

- Czy masz mnie pilnować?

- Pilnować? - Popatrzył na nią zdziwiony, a potem się roześmiał. - Nie, Elizabeth. Przynajmniej nie w tym sensie, o jakim myślisz.

Uśmiechnął się łagodnie, jakby chciał okazać, że ją rozumie.

- Właściwie to jest bardzo proste. Mam stanowisko asystenta Lyona i zwykle pracuję w jego biurze w Nowym Jorku. W zeszłym tygodniu Lyon poprosił, abym tu przyjechał. - Wzruszył ramionami. - Ale teraz, ponieważ Lyon musiał nagle wyjechać, na mnie spada obowiązek pilnować was, dopóki nie wróci, szczególnie w nocy. - Obrzucił ją spojrzeniem spod oka i uśmiechnął się. - Choć może wolałabyś błąkać się sama nocą po czterdziestu pokojach?

Udało mu się ją w końcu rozbawić.

- W porządku, Hunt. Przyjęłam to do wiadomości. Nie jesteś tu po to, aby mnie szpiegować.

- Otóż to - śmiał się razem z nią. - A znając Lyona dość dobrze, przewiduję, że nie będzie mnie tutaj, jak wróci.

- A kiedy to może nastąpić, jak sądzisz?

Czekając na odpowiedź, wstrzymała oddech, wma-

wiając sobie jednocześnie, że nie bardzo ją to interesuje, a nawet życzyłaby sobie, aby jego nieobecność trwała jak najdłużej, przynajmniej do chwili jej powrotu do pracy.

- Kto to wie? - rzekł Hunt i zmienił temat. - A przy okazji, jak się ma Chuck?

- Doskonale - odparła Elizabeth i dodała z lekkim grymasem: - Chociaż w tej chwili nie zachwyca go moja sytuacja.

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknął Hunt. Po chwili zatrzymał się i położył jej rękę na ramieniu. - Elizabeth, gdybym mógł, powiedziałbym mu dokładnie to, co zamierzam powiedzieć teraz tobie. A mianowicie, żebyś była cierpliwa. Sytuacja na pewno się wyklaruje, a Lyon nie jest człowiekiem, z którym trudno się porozumieć.

- Tak, tak - odrzekła Elizabeth, odsuwając się. - Ale jeśli pozwolisz, wolałabym nie rozmawiać o Lyonie.

- Jak sobie życzysz, tylko że...

- Tylko co? - Elizabeth uniosła brwi i zmusiła się do uśmiechu, bo właśnie zbliżał się do nich na rowerze jej syn.

- Tylko że Mitch... - dodał Hunt.

Elizabeth spojrzała na niego z gniewem.

- Co z Mitchem? - spytała.

- Nic. Przyjrzyj mu się - odparł Hunt, kiwając głową. - Przecież to jest absolutne Lwiątko.

Lwiątko. Tak, syn Lyona. Elizabeth skrzywiła się, ale musiała uznać trafność tego określenia. Mitch był żywym, wiernym odbiciem młodszego, lepszego, wrażliwszego Lyona - takiego, jakim go kiedyś znała.

Mitch, uśmiechając się radośnie, podjechał do nich na swoim nowym rowerze i zręcznie zahamował przed matką i Huntem.

- Mamo! - wykrzyknął. - Czy to nie jest bombowe miejsce? - I nie czekając na odpowiedź, trajkotał dalej: - Czy wiesz, że tu jest basen, kort tenisowy, a nawet pole golfowe?

- Nie, nie wiedziałam... - zaczęła, ale syn nie pozwolił jej dokończyć.

- I będziemy tu mieszkać zawsze, zawsze. Tata mi powiedział.

- Powiedział ci to? Naprawdę? - zapytała Elizabeth, patrząc z ukosa na Hunta. - A kiedy to było?

- Dziś rano, zanim wyjechał - odparł i wskoczywszy na rower, znowu ruszył przed siebie.

- Ciągłe w ruchu. Perpetuum mobile? - zażartował Hunt. - Nie ma wątpliwości, że to rzeczywiście syn Lyonsa.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? - dopytywała się Elizabeth, przeszywając go wzrokiem.

Hunt wcale się tym nie spieszył.

- Lyon jest moim przyjacielem, nie tylko moim pracodawcą. Mogę powiedzieć, że znam go bardzo dobrze. - Hunt mówił to z głębokim przekonaniem. - Obserwowałem go przez cały czas, od chwili waszego przyjazdu tutaj, i proszę cię, Elizabeth, bądź cierpliwa. Widzę, że Lyon potrzebuje Mitcha co najmniej tak bardzo, jak Mitch, według mnie, potrzebuje ojca. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Nic więcej.

Dzięki stokrotne, pomyślała Elizabeth, walcząc z przypływem niechęci do Hunta za jego wyraźne

stronniczą opinię o Lyonie. Ale ta opinia, musiała to przyznać, była poniekąd słuszna. Mitch z pewnością potrzebował ojca.

Głupiec! Skończony głupiec!

Lyon powtarzał to sobie po raz setny. Okazał się kompletnym, ślepym i naiwnym osłem. I pomyśleć, że zdradził go własny ojciec. Zawiódł jego zaufanie.

Elizabeth.

Dojmujący ból fizyczny i psychiczny ścisnął mu serce żelazną obręczą. Ojciec skrzywdził go, a on w swej nieświadomości skrzywdził z kolei Elizabeth. Czy można się dziwić, że ta biedna dziewczyna ciągle buntuje się przeciw niemu, że go odtrąca? rozmyślał, wijąc się w duchowej męce i rumieniąc na myśl, jak okrutnie i bezwzględnie z nią postępował. Można się raczej zastanawiać i dziwić, dlaczego w ogóle zgodziła się spełnić jego żądanie i postanowiła z nim zamieszkać, przywożąc ze sobą Mitcha.

A jednak się zgodziła. Dlaczego?

Co skłoniło ją do tego, że poddała się tak łatwo? Mogła przecież walczyć z nim w sądzie, a nawet uciec, czego zresztą się obawiała.

A ona przyjechała do niego.

Dlaczego!?

Lyon czepiał się kurczowo nadziei, która tliła się w jego sercu. Żywił się tą wątłą nadzieją przez cały tydzień, od momentu gdy odkrył starannie zakamuflowane fakty, które dowiodły niezbicie, że to, co mówiła Elizabeth, było prawdą.

Mógł już wcześniej wrócić do domu. Śledztwo, jakie przeprowadził osobiście, zostało zakończone prawie trzy dni temu. Znał już podstawowe fakty, choć trudno mu było się z nimi pogodzić.

Elizabeth mówiła prawdę: nie uciekła od niego, aby go pozbawić prawa do mającego się narodzić dziecka. Została wygnana, wypędzona przez jego własnego ojca.

Wrócić do domu? Lyon wzdrygnął się gwałtownie. Boże, jak będzie mógł stanąć przed nią? Jak spojrzeć jej w twarz, kochając ją, do czego się już teraz otwarcie przed sobą przyznawał, i zniesie usprawiedliwioną odrazę wyzierającą z jej łagodnych brązowych oczu?

Kochał Elizabeth.

Poryw uczucia, zbyt potężny i zbyt obezwładniający, aby go nazwać po prostu ulgą, ogarnął go na nowo. Dziesięć lat, dziesięć długich lat swojego życia spędził niszcząc w sobie uczucie, które żywił względem Elizabeth. W środku, w głębi swej istoty zbudował mur nienawiści, za którym mógł się schronić, aby nie spojrzeć prawdzie w oczy i stwierdzić, że ciągle jest zakochany w Elizabeth.

Teraz mur ten runął, ciemność się rozjaśniła, a jego pragnienia, uczucia i nadzieje ożyły na nowo.

Stojąc przy oknie swego nowojorskiego biura, patrząc w dół na najruGhliwsze i najbardziej podniecające miasto świata, Lyon poczuł, że nic już nie wiąże go z tą tętniącą życiem metropolią.

Był wolny! Bał się, miotały nim obawa i niepewność jutra, ale nareszcie był wolny. Pozbył się niewidzialnych kajdan.

Oderwał się gwałtownie od okna, zrobił szybki obrót i ruszył do drzwi.

Pojedzie do domu, do Elizabeth, bo jest wolny. Ale jest jej winien przeprosiny - za ojca i za siebie.

I wolno mu będzie nareszcie powiedzieć jej o swych uczuciach i prosić ją, błagać nawet na kolanach, jeśli będzie trzeba, aby z nim została.

Blask zachodzącego słońca złocił wszystko wokoło, gdy Lyon dotarł do domu i zatrzymał swój srebrzysty sportowy wóz na zakręcie podjazdu.

Pogodny spokój przenikał otaczający krajobraz. Lyon siedział przez chwilę bez ruchu, czerpiąc siłę do dalszych zmagania z tej przyjaznej atmosfery. Podczas długiej drogi do domu przychodziło mu na myśl, czy nie należałoby sprzedać tej posiadłości i zacząć wszystko na nowo, w innym otoczeniu, zamieszkać gdzieś, gdzie nic nie przypominałoby jego nagannych, nie przemyślanych działań wymierzonych przeciwko Elizabeth. Ale teraz, napawając się tą pogodną ciszą, która go otaczała, zmienił zdanie.

Niemiał prawa sprzedać tego domu. Bez względu na wynik jego rozmowy z Elizabeth, nie chciał i nie mógł pozbyć się rodzinnej posiadłości. Ten dom, te tereny nie należały tylko do niego. Były dziedzictwem jego syna.

Jakiś ruch zwrócił jego uwagę. Podniósł głowę, aby spojrzeć na frontowe drzwi. W tej właśnie chwili ukazał się w nich Mitch.

Jego syn.

Patrzył na niego i czuł gwałtowne bicie serca. Po chwili wysiadł z samochodu.

- Cześć, tato - zawołał Mitch niepewnym głosem małego chłopca.

Jego wahanie, z jakim uniósł rękę w powitalnym geście, wzruszyło Lyona aż do bólu. Posłuszny nagłemu impulsowi, otworzył szeroko ramiona i pobiegł w stronę syna.

- Cześć, synku - odparł głosem, w którym sam słyszał oznaki wzruszenia.

Mitch stał jeszcze przez chwilę z niepewną miną, ale naraz promienny uśmiech pojawił się na jego twarzy i chłopiec z radosnym okrzykiem zeskoczył ze schodków ganku prosto w otwarte ramiona ojca.

Trzymając go w uścisku, Lyon doznał najcudowniejszego wrażenia w życiu. Uczucia obawy, wdzięczności i czystego zachwytu zlały się w jedną wielką wstęgę miłości, która opasała mu serce, a ciepły oczyszczający potok łez zamglił mu oczy. Przez tę mgłę zobaczył, że Elizabeth wychodzi z ciemnego holu, a na twarzy ma wyraz niepewności, podobnie jak przed chwilą jej syn.

- Witaj - rzekł Lyon, zły na swój łamiący się głos, czując, że zamiera mu serce, gdy zobaczył na jej twarzy wyraz surowej powagi.

- Witaj - odparła Elizabeth zimnym i odpychającym głosem.

- Elizabeth, ja... - przerwał, niepewny, od czego zacząć.

- O rany, tato - pisnął Mitch i uściśnawszy go raz jeszcze, odchylił się do tyłu, aby popatrzeć mu w twarz szeroko otwartymi i błyszczącymi radością oczami. - Już się bałem, że nie zdążysz wrócić przed wyjazdem mamusi.

Lyonowi wydało się, że każda komórka jego ciała zmieniała się w sopel lodu.

- Wyjeżdżasz? - zapytał, patrząc na Elizabeth z przerażeniem. - Dokąd?

- Wracam do pracy.

- Kiedy? - zapytał, starając się mówić zwykłym tonem i nie zdradzić się, jakie ta wiadomość zrobiła na nim wrażenie. Obejmując Mitcha i przytulając go do siebie, zaczął wchodzić na ganek.

- Pojutrze - odparła, cofając się do środka, w miarę jak on się zbliżał.

- Czy nie możesz tego odłożyć?

- Nie - odparła, potrząsając głową ze zdecydowaną miną. - Nie zrobię tego.

- Elizabeth, powinniśmy porozmawiać - nalegał, choć ze względu na obecność Mitcha starał się mówić cicho i łagodnie.

- O parametrach naszych stosunków? - zapytała Elizabeth z przygnębieniem i rezygnacją.

- Nie... Tak... Niezupełnie. - Lyon, zwykle tak szybki w ripostach, gubił się i tracił wątek.

- Hej, tato! - przerwał im Mitch, który wysunął się z jego objęć i chwycił go za rękę, mówiąc podnieconym głosem: - Chodź, pokażę ci, co znalazłem.

Lyon zawahał się. Z jednej strony pałał chęcią rozpoczęcia natychmiastowej kampanii, której celem było przekonanie Elizabeth, że muszą pozostać razem, z drugiej strony oceniał, jak ważne jest nawiązanie przyjaznych stosunków z synem.

- Elizabeth - szepnął błagalnie.

- Idź z nim - odparła, wzruszając ramionami,

jakby chcąc podkreślić swój brak zainteresowania tym, co jej powiedział. - Nasza dyskusja czekała tyle lat, więc nic się nie stanie, jak poczeka jeszcze trochę.

Walcząc z ogarniającym go poczuciem klęski, Lyon patrzył na nią jeszcze przez chwilę, lecz w końcu skapitulował.

Mitchell, tańcząc i podskakując, pędził po schodach, wbiegł pędem do swego pokoju i dopadł leżącego na podłodze kartonowego pudła, którego zawartość wysypała się na dywan.

- Co my tu mamy? - zapytał Lyon, przyglądając się różnym przedmiotom i papierom. - Czy to twoje skarby?

- Nie, to wszystko należy do mamy - odpowiedział Mitch z tajemniczym uśmieszkiem.

Zainteresowanie Lyona wzrosło.

- Twojej mamy? - zapytał, klękając, aby się lepiej przyjrzeć zawartość pudła. - Czy ona wie, że to oglądamy?

- Nie. Ale tu są wszystkie moje świadectwa szkolne i dyplomy z zawodów sportowych. Myślałem, że zechcesz je zobaczyć - wyjaśniał zawstydzony chłopiec.

Lyon natychmiast zmiękł.

- Oczywiście, że chcę - odpowiedział, rozsiadając się wygodnie na dywanie.

Wśród honorowych odznak i innych przedmiotów spostrzegł pudełeczko, które wydało mu się znajome.

- A co to jest? - zapytał z udaną obojętnością, biorąc je do ręki.

- A, to tylko zepsuta bransoletka mamusi - odparł Mitch, grzebiąc dalej w pudle.

Wstrzymując oddech, podniecony przecuciem, co w nim znajdzie, Lyon otworzył pudełeczko trzęsącymi się rękami. Wewnątrz leżała złota bransoletka z zepsutym zameczkiem, lecz lśniąca jak kiedyś, ta sama, którą Lyon ofiarował Elizabeth na jej osiemnaste urodziny.

Przechowała ją przez te wszystkie lata. Szalona, gwałtowna nadzieja pojawiła się nagle w jego sercu. Może to nic nie znaczyło... ale, Boże drogi, mogło znaczyć również wszystko, o czym marzył.

Kolacja była najdłuższym posiłkiem, jaki Lyon miał okazję kiedykolwiek spożywać.

Przyjemności dostarczał mu niewinny entuzjazm syna. Jego podniecenie związane było z bransoletką, którą miał w kieszeni i która ożywiała jego nadzieję.

W końcu - nareszcie! - dom opustoszał. Służba rozeszła się do swoich domów. Hunt został odesłany do Nowego Jorku. Mitch spał już w swoim pokoju.

Elizabeth znów siedziała w bibliotece w rogu kanapy. Lyon, oczekując na sprzyjający moment do nawiązania rozmowy, przeżywał chwile grozy.

- Skończmy wreszcie z tą całą sprawą - zaczęła Elizabeth.

- Przepraszam cię!

- Słucham? - zmarszczyła brwi.

- Powiedziałem, przepraszam cię, Elizabeth.

- W porządku. - Obserwowała go uważnie. - Za co mnie przepraszasz?

- Za wszystko - mówił Lyon ochrypłym głosem, ciężko oddychając. - O, Boże, nigdy się nie dowiesz, bo

słowa nie są w stanie tego wyrazić, jak bardzo żałuję, że z mojego powodu musiałaś znieść tyle bólu, upokorzenia, że tyle przeze mnie wycierpiałaś. Znam już teraz całą prawdę o tym, co mój ojciec zrobił tobie i twojej rodzinie, ale Bóg mi świadkiem, Elizabeth, że nic o tym nie wiedziałem i niczego nie podejrzewałam, aż do tego wieczora, w zeszłym tygodniu, gdy mi to wszystko wyjawiałaś.

Obserwował jej twarz i zauważył, że pojawia się na niej nowy wyraz. Ulgi? Współczucia? Litości? Ale dla kogo? zastanawiał się Lyon. Dla niej samej czy dla niego? Na Boga, nie potrzeba mu jej litości! Pragnie tylko jej miłości!

- Elizabeth, wysłuchaj mnie - zaczął mówić z pośpiechem.

- Czy mogę już odejść? - zapytała, przerywając mu.

- Odejść? - wyszeptał Lyon. - Odejść? Dokąd?

- Dokądkolwiek - odpowiedziała cicho, lecz bez wahania. - Daleko stąd, jak najdalej od ciebie.

Lyon poczuł ból w piersi, jakby ktoś zadał mu cios sztyletem. Zamknął oczy i przez chwilę miał ochotę umrzeć. Ale złoty talizman, który miał w kieszeni, dodał mu sił. Postanowił raz jeszcze stanąć do walki.

- Tak, oczywiście, teraz możesz odejść, jeśli tego chcesz - rzekł, wstając z fotela i klękając. - Ale najpierw wysłuchaj mnie, proszę cię - zwrócił się do Elizabeth i nie słuchając protestu swej dumy, przebył całą przestrzeń, jaka ich dzieliła, na kolanach.

- Lyon! - zmieszanie i przestraszony pojawiły się w jej pięknych oczach. - Co ty wyprawiasz?!

- Klęczę przed tobą i zrobię jeszcze więcej, wszyst-

ko, czego zażadasz, aby tylko cię tutaj zatrzymać!
- Ujął jej dłonie i podniósł do ust. - Elizabeth, czy zechcesz mnie wysłuchać?

Dygotała cała ze wzruszenia. On też.

Jej oczy napełniły się łzami. Jego też.

- Lyon... Nie mogę w to uwierzyć... Co ty mówisz?
- mówiła łamiącym się głosem, który wypełniał mu serce nadzieją.

- Kocham cię, Elizabeth. - Lyon prawie ochrypł z emocji i bólu. - Kochałem cię dziewięć lat temu. Kochałem cię przez te wszystkie lata, kiedy jednocześnie cię nienawidziłem. Kochałem tę dziewczynę, jaką byłaś, ale kocham cię teraz jako kobietę, którą się stałaś. Bardziej niż siebie samego i nawet bardziej niż mego własnego syna.

- Lyon... och, Lyon, ja... - mówiła z trudem, zanosząc się od płaczu, szlochając jak dziecko.

Włożywszy drżącą rękę do kieszeni, Lyon wyjął bransoletkę.

- Znalazłem to - powiedział głosem tak samo drżącym jak dłoń. - Czy zechcesz mnie jeszcze kochać?

- Nigdy nie przestałam cię kochać! - wykrzyknęła schylając się, aby ucałować palce otaczające jej dłoń.

- Chciałam o tobie zapomnieć. Modliłam się o siłę woli, aby cię znienawidzić. Ale zawsze kochałam cię tak samo, jak syna, którego mi dałeś.

- Słodki Boże, Elizabeth!

Ogarnęła go wielka radość i wzruszenie. Otoczywszy Elizabeth ramionami, pociągnął ją ku sobie i razem opadli na podłogę, tuż koło miejsca, które było świadkiem ich miłosnych pieszczot.

- Lyon! - Śmiejąc się i płacząc jednocześnie, Elizabeth objęła go za szyję i przytuliła się mocno do jego piersi. - Co ty wyrabiasz?

- Kocham cię - odparł, nie wstydząc się wcale łez, które płynęły mu po policzkach. - Uwielbiam cię, moja najdroższa. - W oczach pojawił mu się przekorny błysk, gdy naśladował Mitcha. - O rety, mamó, zgadzasz się?

Elizabeth uśmiechnęła się figlarnie.

- O rety, tato, myślałam, że już się nigdy o to mnie nie zapytasz - odrzekła.

I właśnie tam, na dywanie, przy trzaskającym ogniu na kominku i w chłodnym górskim powietrzu, które owiewało ich rozpalone namiętnością ciała, Elizabeth i Lyon spełnili akt miłości.

Szepcząc jej o swojej miłości, zachwycie i wdzięczności, Lyon całował, pieścił, brał w posiadanie każdy centymetr ciała Elizabeth, doprowadzając ją do westchnień, jęków, a wreszcie ekstatycznych okrzyków rozkoszy.

Potem ona z kolei gładziła, badała, dotykała i całowała jego wspaniałe, silne ciało, zmuszając go do pomruków zachwytu i okrzyków radosnego triumfu.

Kiedy na koniec, dygocząc z pożądania, połączyli usta, ciała i serca, ich związek został przypieczętowany obietnicami wiecznej miłości.

Świt malował horyzont na różowo, kiedy wreszcie nasycony Lyon oparł się na łokciu i wpatrując się w twarz Elizabeth, powiedział:

- Zostań ze mną.

- Zostanę.
- Kochaj mnie.
- Kocham.
- Wyjdź za mnie.
- Oczywiście.

Zapadła chwila ciszy, a potem spokój wczesnego poranka został zakłócony wybuchem radosnego śmiechu dwojga szczęśliwych ludzi.